Cena 40 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

31 Styczeń 1937 r. Niedziela Rok II. Nr. 7.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

ALBIN WROŃSKI

Konstytucja w grze

Co do każdej dziedziny prawa można postawić pytanie, którego prawnicy jednak nie stawiają. Brzmi ono mniej więcej tak: w jakim stopniu dane prawo rzeczywiście oddziaływa na równowagę sił? Nie jest bowiem w tej równowadze wszystkiem, jak mniemano w XVIII wieku, czego w zupełności dowodzi fakt, że najidealniej przeprowadzona zasada równości obywateli wobec prawa jest tylko okruchem absolutnej równości między ludźmi na całym świecie.

Jako rzecz oczywistą można stwierdzić, że w zagadnieniu równowagi międzynarodowej prawo będzie miało rolę najmniejszą, choć nie żadną. Traktaty międzynarodowe nie są świstkami papieru. Gdyby tak było, nie zawieranoby ich od czasu cynicznej rewelacji Bethmanna - Hollwega. Może rola ich jest nie wielka, ale jaka?

Odpowiednio w innej dziedzinie konstytucja jest jednym z elementów równowagi sił społecznych w państwie. To jej znaczenie jest różne, zależnie od wielu okoliczności, związanych z niepowtarzalnemi właściwościami życia wewnętrzno - politycznego poszczególnych państw. Inną rolę odgrywa konstytucja w życiu politycznem Anglji, inną we Francji, a jeszcze zupełnie inną w ZSSR lub w Niemczech. Nie badając w tem miejscu tych przypadków poszczególnych, rozważmy kwestję najogólniej, ograniczając się do przyczyny głównej, którą jest struktura i dyspersja sił społecznych, przejawiających się na gruncie danej konstytucji.

Przypuśćmy, że w jakiemś państwie konstytucyjnem wytwarza się partja tak potężna, że zdobywa nietylko wszystkie kwalifikowane większości, wymagane do specjalnych aktów przez konstytucje, ale i decydujący wpływ na całe życie polityczne państwa, przeczekując (jak w znacznej mierze przeczekano Hindeburga), lub obłaskawiając (Wiktor Emanuel III) głowę państwa. Wówczas rola konstytucji, jako składnika równowagi sił społecznych, spada prawie do zera, nawet przy dość teoretycznem założeniu, że partja ta nie zechce nigdy, choćby w sposób nie rzucający się w oczy, konstytucji pogwałcić.

Charakterystyczne jest, że wówczas opinja publiczna przestaje się interesować konstytucją i oficjalnemi organami władzy państwowej, a gros jej zainteresowania przenosi się na koterję wewnętrzno - partyjną, względnie na osobę jej kierownika, jeśli jest ona dominującą. Tam bowiem jest czynnik decydujący, posiedzenia zaś parlamentu są zainscenizowaną komedją, na której pionki organizacji partyjnej udają, że decydują to, co już dawno zdecydowały partyjne eminencje. Nawet na ministrów poszukiwani są nierzadko ludzie, umiejący przedewszystkiem słuchać. Konstytucja, choćby stosowana w literze, obumiera, pozostając w pamięci tylko dogmatyków prawa.

W tym stanie rzeczy przestaje ona być dla partji wyraźnie szkodliwą, aczkolwiek wciąż jest niewygodna, a mniej lub więcej demokratyczna ordynacja wyborcza kryje zawsze w sobie ziarno niebezpieczeństwa, gdyż opanować naród, nawet metodami drakońskiemi, jest znacznie trudniej, niż zdobyć władzę. Jeżeli się weźmie jeszcze pod uwagę, że kosztem minimalnego wysiłku można, usuwając te niewygody i niebezpieczeństwa, uczynić konstytucję podporą reżimu przez usunięcie innym ugrupowaniom pola do legalnej rozgrywki, wydaje się rzeczą całkiem naturalną, że wszystkie państwa o ustrojach monopartyjnych, po załatwieniu spraw najpilniejszych, przystąpiły do radykalnej reformy aktu konstytucyjnego.

Z biegunowo przeciwnym przypadkiem będziemy mieli do czynienia w państwie o bardzo dużej dyspersji sił społecznych. Tutaj niema władzy partyjnej, któraby rządziła, przeprowadzając swe postanowienia przez ludzi, podstawionych w decydujących według konstytucji organach. Żadne z ugrupowań istniejących nie jest dość silne, aby lekceważyć bezkarnie te nikłe gwarancje konstytucyjne, jakiemi konstytucje bywają obwarowane. Konstytucja wchodzi naprawdę w grę. Treść jej staje się ostatnią instancją w tarciach międzypartyjnych i sporach kompetencyjnych między władzami. Przeżywa ona ciężką próbę, wychodzi na jaw wszystko, co jej twórcy skonstruowali świadomie lub nieświadomie wbrew racji stanu, co przewidzieli mylnie i o czem zapomnieli. Warta tego czy niewarta, konstytucja pozostaje w literze dziewiczą, nieulegającą przemocy, a w dynamice państwa staje się elementem pierwszorzędnej doniosłości.

Pomiędzy temi krańcami jest wiele przypadków innych, kiedy to wprawdzie konstytucja nie zostaje z rzeczywistości państwowej usunięta, ale postanowienia jej nie zyskują sobie mocy absolutnej. Ten, kto ma ją w danym przypadku za sobą, jest silniejszy, niż gdyby jej nie miał, ale niekoniecznie silniejszy od swego przeciwnika. Jeśli ów zwycięży, to konstytucja zostanie pogwałcona, aczkolwiek zazwyczaj z zachowaniem pozorów. Formuła brzmi: „śmiała interpretacja" lub coś w tym rodzaju. Słowem, dorabia się teorję prawną do praktyki bezprawia.

Jeżeli rozproszkowanie i układ sił społecznych wykazują względną stałość, to gwałcenie konstytucji idzie zawsze w tych samych kierunkach, tem bar-

dziej, że następne pogwałcenie analogiczne idzie już łatwiej, dzięki teorji precedensu.

Po pewnym czasie takiego postępowania wytwarza się konstytucja zwyczajowa, dopasowana do układu sił społecznych. Klasycznym przykładem takiego dopasowania się, sankcjonowanego zresztą etapami przez formalne poprawki, są St. Zjednoczone A.P. Dzieje się to prędzej lub wolniej, zależnie od tego, czy zbliżamy się do typu pierwszego (ale nie tak, żeby partji rządzącej było już wszystko jedno, jaką jest konstytucja, lub żeby mogła ją bez trudu zmienić i formalnie), czy przeciwnie, do drugiego z rozważanych wyżej przypadków krańcowych.

Mogą tu zachodzić bardzo różne kombinacje n.p. konstytucja ewoluuje odpowiednio do aktualnej struktury sił społecznych, poczem zwiększone ich rozproszenie, uniemożliwiając dalszą ewolucję, petryfikuje na długie lata „konstytucję materjalną" w pewnem stadjum. Coś w tym rodzaju obserwujemy we Francji.

Tak więc dochodzimy do wniosku, że w przypadku średniej dyspersji sił społecznych, mogących ujawnić się w życiu politycznem państwa, konstytucja jest jednym ze składników równowagi tych sił, aczkolwiek względnym, to znaczy brzmienie jej ma duży zasięg, lubo ograniczony. Jeżeli natomiast jedna partja zdoła opanować całe życie polityczne państwa, konstytucja staje się tylko cieniem, poczem zostaje zniesiona formalnie, aby dać miejsce nowej, która będzie tej partji podporą. Partja rządząca wyraża jej za to wdzięczność, obchodząc rocznicę uchwalenia, jako święto narodowe — ale to jest tylko święto partyjne.

Raptularz tygodniowy

(SZYDŁO Z WORKA — METODA P. KAWECKIEGO — SPRAWIEDLIWOŚĆ CZY OŚWIATA.

Po 5 latach sejmu brzeskiego i po wstępnym roku sejmu oktrojowanego, dochodzimy do sedna rzeczy. Ministrowie poczynają cytować fakty i liczby, o których do niedawna mało kto wiedział, a prawie nikt nie mówił. Przemowy pp. Grabowskiego, Świętosławskiego i Ulrycha dały tak ogromny materiał krytyczny, dotyczący pracy i położenia tych trzech resortów, że niczego więcej już zbierać nie potrzeba, aby udowodnić spokojnie i rzeczowo, jak zawodnemi, niefachowemi były rządy tych ministrów i ich poprzedników od chwili, — gdy parlament utracił faktyczne prawo kontroli. Jeśli p. Grabowski cytuje fatalne cyfry przestępczości, p. Świętosławski mówi o załamaniu się programu powszechnego nauczania, o rozłamie wewnątrz ciała nauczycielskiego, no, a p. Ulrych porównuje sytuację kolejarza, do położenia w okopach (!!) — trudno przecież o wyraźniejsze i udatniejsze przyznanie się do programu nicości, jaki udało się do tej pory wspólnemi siłami realizować.

I co z tych oświadczeń wynika? Na komisjach pochwały i ukłony referentów. Pp. Rostworowski, Radziwiłł, Walewski i ilu ich tam się znalazło, wyrażali „gorące podziękowanie" ministrom. Zapewne za to, że pozwolono im raz jeszcze w roli sprawozdawców budżetowych wystąpić. I zapewne za to, że obrady komisyj budżetowych chwilami zmieniają się w rodzaj seminarjum uniwersyteckiego, na którem wzajem pouczają się uczestnicy i goście, coby to jeszcze na zadany temat bez niczyjej urazy dało się powiedzieć.

Bo jeśli np. minister komunikacji po jakiejś katastrofie kolejowej przenosi kilkudziesięciu urzędników wyższych i niższych, co w potocznym języku nazywa się rozpędzeniem dyrekcji na cztery wiatry, a tuż po nowej obsadzie wydarza się w tej samej dyrekcji nowa katastrofa znacznie poważniejsza, to parlamentarzysta najbardziej oddany rządowi, ale dbający o resort, powinien zapytać ministra, jak rozumie celowość podobnych zarządzeń i czy zastępowanie metody rzeczowości metodą tupetu nie wydaje mu się czemś niebezpiecznem. Nic podobnego nie zaszło. Komisja pokłoniła się w pas i podziękowała ministrowi. I wiadomo dlaczego. Niektórzy ministrowie są umieszczeni na liście opozycyjnej, inni nie. Są także ministrowie neutralni „brani na próbę". Jak wygląda ta lista, tłumaczył „Goniec Warszawski" z 23 stycznia we wstępnym artykule. Płk. Walery Sławek uprawia według „Gońca" opozycję i wysyła swych subjektów na front dla zrobienia ruchu. Niektórzy ministrowie cieszą się pobłażaniem, innych skrupulatnie się wentyluje. Zbyteczna teraz dodawać, jak fatalnie wygląda ta skondensowana, mafijna partyjność w sejmie, całkowicie według potrzeb regime'u dobranym. Ale nie o regime nawet chodziło — panowie deputaci — lecz o personalną pozycję pana Pułkownika. Wyłazi wielkie szydło z małego worka...

* * *

Jeśli sprawdzą się pogłoski o ustąpieniu viceministra Kaweckiego, zamknie się bardzo interesujący rozdział polityki wewnętrznej. Pan Kawecki pracował długie lata w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Zacząwszy od stanowiska referenta, specjalisty od wywrotowców, odchodzi jako viceminister, senator z nominacji i t. d. Pan Kawecki stał się głównym autorem metod, przy pomocy których pracowały i pracują wydziały bezpieczeństwa (obecnie przemianowane na wydziały społeczno-polityczne). Oczywiście, nie pora teraz nawet na próbę charakterystyki tych niedawnych dziejów. Jeśli jednak sanacyjni publicyści pełni zapału piszą dzieje swego ruchu, mogą już teraz przystąpić do opracowania „metody Kaweckiego", jako zjawiska godnego opatentowania w kraju i zagranicą.

* * *

W „Wieczorze Warszawskim" (Nr. 23), znajdujemy w sprawozdaniu z dyskusji na temat resortu sprawiedliwości taki ustęp: „powstało pytanie: które potrzeby państwowe są hierarchicznie wyższe? Zgodzono się powszechnie, że na pierwszem miejscu stoi obrona państwa, natomiast nie było zgody (!) co do tego, czy na drugiem miejscu ma być sprawiedliwość czy oświata". Sprawozdawca nie zauważył paradoksalności takiego stawiania sprawy i zdumiewającego dyletantyzmu ciała parlamentarnego, w którem wogóle zgodzono się debatować nad pytaniem, mającem wszelkie cechy utopijności. Ale rząd nie może sobie dać rady z budżetem i zestawia go nienależycie, a słynni nasi parlamentarzyści przyjmują tę okoliczność jako konieczność nieodwracalną, bez mała — zrządzenie opatrzności i głowią się, jakby wyjść z matni. Brak im, powiedzmy to z zachowaniem wszelkiej dyskrecji, trzech cech niezbędnych: rozumu, odwagi i charakteru. Ale nic tu nie zawinił ani budżet państwa, ani sprawiedliwość, ani tem mniej oświata.

Tot.

Z 7 dni

Nie zabieraliśmy głosu w sprawie akademika Rzymowskiego, bo, po pierwsze, nie zajmujemy się sprawami jednostek, a po drugie, oczekiwaliśmy enuncjacji publicznej. Ponieważ P. A. L. wypowiedziała się, ogłaszając przytem, że jej wyrok jest powzięty w obecności konsultanta prawnego p. prezesa sądu apelacyjnego K. Rudnickiego, przeto bez komentowania winy lub słuszności oskarżonego, pozwolimy sobie przytoczyć następujące zestawienie:

Z ustawy z dnia 29 marca 1926 r. o prawie autorskiem w brzmieniu obwieszczenia Ministra Sprawiedliwości z dn. 25 kwietnia 1935 r. (Dz. Ust. Nr. 36 poz. 260):

Art. 17 ust. I. Opracowanie, rozpowszechnianie, zapożyczanie z cudzych utworów, przewidziane w art. 3 oraz art. 13 — 16, dozwolone są tylko pod warunkiem wyraźnego podania źródła opracowania, zapożyczenia, rozpowszechniania i wymienienia twórcy.

Art. 68. ust. I. Kto wbrew przepisom ustawy niniejszej wkracza w wyłączne prawa twórcy lub jego następcy prawnego, podlega karze aresztu do 6 miesięcy lub grzywny do dziesięciu tysięcy złotych albo obu tym karom łącznie.

Z wyroku sądu koleżeńskiego P. A. L. w sprawie Rzymowskiego:

„...pośpiech pracy dziennikarskiej niejednokrotnie narzuca konieczność posługiwania się gotowym materjałem sformułowanym przez publicystę, również bez podania źródła". W dalszym ciągu przepisywanie wielkich ustępów z cudzych książek i artykułów bez podania źródła jest nazwane „ułatwieniem" i „metodą pracy".

Przypuśćmy, że wyrok jest słuszny, ale jego motywy — iście palowe. Ponadto, co powie bractwo dziennikarskie na takie poglądy nieśmiertelne?

Kongres P. P. S.

31 stycznia odbędzie się w Radomiu kongres Polskiej Partji Socjalistycznej. Znowu fakt dużego znaczenia politycznego. Podobnie, jak po kongresie ludowym, znowu następstwa są nieobliczalne — tembardziej w dusznej atmosferze kraju, tembardziej przy walce skrajności w całym świecie. W innych warunkach z większym spokojem należałoby oczekiwać uchwał, bo socjaliści przeszli przez zachodnią szkołę demokracji państwowej i nauczyli się rozróżniać teorję haseł od praktyki osiągnięć. Jeśli trzeba przyznać, że wywarli wpływ na całą masę społeczną zupełnie od nich odrębną, to i odwrotnie — sami często ulegali jej wpływom.

Obecnie sytuacja pogorszyła się. Przedewszystkiem wysunęła się na plan pierwszy konkurencja komunizmu tryumfującego, który w demagogji przelicytował socjalistów wszelkich odcieni i który sugestjonuje potęgą największego państwa na świecie. Nic to, że w Rosji plugawią i tępią socjalistów; oni nadal dla ratowania swych wpływów są jakby przedszkolem dla wyższej edukacji bolszewizmu. A następnie, tem zacieklej walczą w obronie doktryn lewicy, im silniejszym atakom podlegają ze strony równie nieprzejednanej prawicy. Stąd wynikają ich sojusze z Żydami i opieka nad nacjonalizmem żydowskim; stąd również pochodzą koncepcje skrajnie radykalnych „frontów ludowych“, jako odpowiednik dla monopartyjnego faszyzmu i bez względu na ustosunkowanie sił w kraju; stąd także wzmożenie walki z religją.

Niewątpliwie, podkreślenie w uchwałach zasadniczych różnic z resztą społeczeństwa polskiego nie przyczyni się do uspokojenia umysłów. Jakże dalecy jesteśmy od czasów, kiedy wice-premjer gabinetu obrony narodowej — Daszyński był prawie dla wszystkich rękojmią wspólnoty i powodzenia i kiedy kwestja wyodrębnienia niektórych żydów z armji (w Jabłonnie) nie wywołała z jego strony złożenia urzędu. Bo on i wszyscy wiedzieli, że nad Polską zawisła groza utracenia swobody.

Czy dzisiaj nad Polską nie wisi żadna chmura? Czy swoboda wszędzie panuje? Czy nie należałoby marzyć o nowym „cudzie nad Wisłą“, któryby ponownie z dekompozycji wydobył działanie planowe, któryby z pobitych i strwożonych uczynił zwycięzców, poniżenie przemienił w sławę narodową, a utratę samodzielności w pełnię praw obywatelskich? Czy wobec warunków zewnętrznych i .wewnętrznych nie mogą się rozpętać wrogie siły równie groźne, jak w one czasy gabinetu obrony narodowej?

Socjalizm wielokrotnie miał powodzenie nie dlatego, że objawiał jakieś niezaprzeczone prawdy i skupiał niezwykłe bohaterstwa, lecz głównie dlatego, że budził sympatje nawet wśród nie-socjalistów, że działał w aurze przyjaznej. Wierzono w ich walkę za „naszą i waszą wolność“. Czyżby teraz n a s z a miała oznaczać tylko socjalistyczną, a w a s z a — tylko żydowską wolność? Czyżby to miało być główną troską, a wspólne zwalczanie niedoli i restytuowanie praw polskich zagadnieniem odległem, albo drugorzędnem?

Wkrótce przekonamy się, jakie nastroje zwyciężyły na kongresie Polskiej Partji Socjalistycznej. Życzymy zarówno całemu społeczeństwu, jak i stronnictwu, żeby położyło główny nacisk w uchwałach na pierwszy ze swoich przymiotników i żeby dostrzegło dzisiejszą rzeczywistość polityczną, a nie jutrzejszą utopję.

R. S.

MARJAN ZDZIECHOWSKI

Terorystyczny antyteizm

III.

Ale wraz z uczuciem patrjotycznem i uczuciem moralnem podnosi protest to, co najgłębsze w człowieku, uczucie religijne. Bo celem bolszewizmu nie jest tylko komunizm, komunistyczny ustrój świata. Bolszewizm ma głęboką podstawę ideologiczną w negacji Boga i religji, w walce z ideą Boga.

Ale bez jakiegoś boga człowiek obejść się nie może. Rozumiał to publicysta znakomity, a stojący poza religją, Konstanty Srokowski. „Kto będzie — zapytywał on [2]) — bogiem bolszewizmu, skoro samą ideę Boga usiłuje bolszewizm w fanatycznym szale wyplenić z serc i umysłów"?

„Nazwijmy go — brzmiała odpowiedź — bogiem negatywnym". Określenie genjalne, trafiające w samo sedno rzeczy. Ale słysząc to, czujemy mrowie na skórze — i zdaje się, autor sam nie zastanowił się nad doniosłością tego, co powiedział.

Nie oglądał Boga żaden żywy człowiek, ale do idei Boga wznosiły się najwyższe umysły w najwyższych chwilach swego życia i niezmiennie ją łączyły z ideami Prawdy, Dobra, Piękna, które, pomimo różnic w odcieniach ujmowania ich, jednaką cześć i entuzjazm budzą w każdem sercu szlachetnem, bóg zaś „negatywny" byłby negacją Prawdy, Dobra, Piękna; czyli bóg ten jest kłamstwem, przeczącem prawdzie Bytu i Boga, a uznanem, jako Prawda i Byt; jest Złem t. j. zbrodnią i grzechem, wysławianym, jako Dobro; jest Brzydotą uwielbianą, jako Piękno, słowem, jest to **Umwertung aller Werte**, przewartościowanie wszystkich wartości, które samego twórcę pojęcia tego, Fryderyka Nietzsche przejęłoby grozą i które wszystkie wielkie filozofje i religje świata jednako w obrazie pokłóconego z Bogiem Ducha ciemności, Szatana, Djabła przedstawiają, choć rozmaicie pochodzenie, powstanie i moc ciemności tej rozumiana bywa. Wobec tego uznać musimy, że bolszewizm jest, a w każdym razie chce być, ze świadomością większą lub mniejszą, bezpośrednim porodem Ciemności, bezpośredniem dotychczas w historji niewidzianem wtrąceniem się potęg Piekła w sprawy tego świata wodzowie bolszewizmu, ta niby elita nadludzi, którą zbliska ich znający Arcybaszew określał, jako „międzynarodową swołocz", są opętanymi przez owe czarne moce ich sługami, a religja, ku której bolszewizm zmierza, będzie, raczej już jest kultem szatana w krwawej osobie Lenina.

Przed trupem Lenina, wystawionym w Moskwie na katafalku na widok publiczny, przesunęło się w ciągu 48 godzin przeszło 600,000 ludzi, którzy ustawieni w szeregi na kolej swoją wyczekiwać musieli długie godziny przy 35 stopniach styczniowego mrozu. Czy się domyślał zaciekły wróg wszelkiej metafizyki, wszelkiego podobieństwa metafizyki, jakim był Lenin, że trup jego podstawą będzie, na której się wzniesie nowa metafizyka, nowy kult religijny? Że ten kult jest w najgłębszej istocie swojej kultem Szatana, wyczuł to znakomity pisarz niemiecki Fr. O. Muckermann i uczuciu swemu dał wstrząsający wyraz w artykule o „Szatanie w polityce i życiu", który napisał pod wrażeniem wycieczki przemysłowców niemieckich do Moskwy. Sprzymierzajcie się — woła [3]) — z kim chcecie, tylko nie z djabłem! A wam się zdaje, że macie do czynienia z ludźmi i że we wspólce z nimi dobre gieszefty robić będziecie. Gieszefty zaćmiły wam świat idei, nie jesteście zdolni do idei, oni zaś ideę mają — ideę szatańską, ideę nienawiści, ideę walki z Bogiem, ideę piekła. I piekłu służą, odbicie piekła noszą w duszach, na twarzach, a wy z nimi — to znaczy z djabłem — w chwili, gdy to piszę, siadacie do stołu i z nim pijąc kachetyńskie wino, zajadając astrachański kawior, zawieracie przymierze! O, jakbym chciał, aby te słowa moje doszły do was, abyście zrozumieli, że idzie, że pędzi, i zbliża się coś, czego ludzkość dotychczas nie przeżyła — że piekło, że djabeł nie jest wymysłem, nie jest zmorą, ale jest rzeczywistością! Niedawno spotkałem podeszłą wiekiem Rosjankę: trzy razy skazywaną była na śmierć. Groza rzeczy, które widziała, tragiczne nieszczęścia, co na nią padały, uduchowiły jej oblicze wdziękiem niezmiernej dobroci; nigdy równie pięknego nic oglądałem. „Opowiedz światu — mówiła — że djabeł jest"...

W istocie bolszewizmu tkwi absolutna negacja Boga, pierwiastka boskiego

[2]) K. Srokowski. „Elita bolszewicka" (Kraków 1927) Por. M. Zdziechowski. „Od Petersburga do Leningradu".

[3]) „Der Gral". Kwiecień 1931. Słowa autora przytoczone są w skróceniu.

w człowieku, fanatycy rządów negacji tej, zwłaszcza w krajach łacińskich — konkretną postać szatana. Zdaje się, że dziś dopiero powstanie w Hiszpanji przeciw rządzącym nią bolszewizantom i bolszewikom otworzyło Europie oczy, zaczynają rozumieć, że wojna z bolszewizmem jest przedewszystkiem wojną religijną.

Politykiem nie jestem. Może ze stanowiska polityki chwili bieżącej pakty o nieagresji, które pozawierano z Rządem sowieckim, miały uzasadnienie, ale ze względu na jutro były dowodem krótkowzroczności, bo w gruncie rzeczy były hołdem, złożonym bolszewickiemu agresywizmowi, paraliżującym wszelkie antysowieckie poczynania, wszelki w stosunku do Sowietów krytycyzm.

Od tego czasu propaganda filosowiecka szaleje w Polsce. Sowiety stały się przedmiotem mody.

A prasa, nasza prasa! Ta za jednym, o ile wiem, wyjątkiem „Słowa" wileńskiego, wpadła w szał radości, bez różnicy stronnictw, czy odcieni politycznych. Dla jednych pakt był „usunięciem miecza Damoklesa, wiszącego nad Polską", dla drugich, „najpomyślniejszem zdarzeniem w Europie i Azji", dla innych nawet „szczęściem". Nie jestem w stanie uwierzyć, aby ludzie, co to pisali, wierzyli słowom swoim, nie wierzę też, aby pisali za pieniądze sowieckie; więc po co tak pisali i piszą? Wszak wiedzą, że Sowiety są jedną wielką katorgą, w której ludzie dzielą się na dwie kategorje: katorżników i tych, co ich pilnują i katują. Przyjaźniąc się z katami i oprawcami, stwarzamy atmosferę psychiczną, w której walka z propagandą ich staje się niezmiernie trudna. I propoganda sowiecka szerzyć się będzie coraz szybciej i wraz z nią rozkład moralny coraz szersze koła zataczać będzie. Nie dość tego, znalazł się ktoś, kto napisał, że „Sowiety niosą cierpiącej ludzkości misję kulturalną". Dostojewski nie cierpiał Polaków, gardził nimi i, aby pogardzie swej dać dosadny wyraz, nazywał nas „Polaczyszkami"; słusznie owego błazna, wysławiającego zasługi katów sowieckich dla „cierpiącej ludzkości" red. Mackiewicz także „polaczyszką" nazwał.

Do ostatecznego przypieczętowania paktu i zamydlenia oczu głupim „Polaczkom" przysłano z Moskwy dziennikarza, żyda z Tarnowa, Radka. Jako Tarnowianin, powinienby być obywatelem polskim; jako obywatel polski, powinien byłby za czyny swoje pokutować w więzieniu. Tymczasem chłystka sowieckiego uroczyście witano na dworcu kolejowym w Warszawie, potem tryumfalnie obwożono po Polsce, karmiono i pojono; skrzętnie zapisywano każde jego słowo, szczycono się każdą pochwałą, jaką przez usta swoje wycedzić raczył. W drodze powrotnej do Moskwy zatrzymał się znowu w Warszawie; sowiecki „połpred" wydał na jego cześć pożegnalne śniadanie; gwizdnął, i na gwizd ten skwapliwie pośpieszyli ci wszyscy, na których gwizdnąć raczył. A byli między nimi ludzie z przeszłością zaszczytną, ludzie, którzy z orężem w ręku niepodległość wywalczyli. Nie chcę ich wymieniać.

Z orężem w ręku za Polskę nie walczyłem, do organizacyj powstańczych nie należałem; przeciwnie, byłem ugodowcem, choć innego odcienia, niż ci, co politykę ugodową robili. Ale czułem się Polakiem całą duszą, czułem godność imienia tego, rozumiałem duszę narodu. I ze stanowiska tego w rozmowach moich z Rosjanami nie zszedłem nigdy, w każdem słowie mojem słyszeli odgłos całej przeszłości polskiej z chwałą wieków potęgi i większą jeszcze chwałą nadziei i cierpień w walkach o wolność. I dlatego czuli dla mnie szacunek i dobrą o mnie pamięć zachowali. Dla ugodowców nowego autoramentu, uniżenie kręcących ogonami przed jakimś Radkiem czy Litwinowem, panowie ci — Radek, czy Litwinow — szacunku nie mają, przeciwnie mają ich w pogardzie. Tę nową postać ugodowości określiłbym, jako prostytuowanie myśli polskiej, duszy polskiej, całej naszej przeszłości dziejowej, naszego posłannictwa. Kobiety idą na prostytutki z nędzy. Czyżbyśmy także już w ostateczną nędzę wpadli? Nie, ale nędza moralna jest wielka.

Przeciw grozie tego nihilizmu moralnego narody wszystkie, zwłaszcza sąsiadujące ze sobą, powinnyby wytworzyć wspólny idealny front ludzi przeświadczonych, że nie po to żyje człowiek, aby zdobywać swoje osobiste szczęście, lecz po to, by tworzyć porządek lepszy, uczciwszy niż ten, co powstaje ze spustoszeń i zniszczeń dokonywanych pod hasłami demokracji doprowadzonej do absurdu.

W.

Skargi Śledziennika

II.

— Według moich bardzo ostrożnych obliczeń, — ciągnął dalej mój przyjaciel — co najmniej 90% naszego społeczeństwa należy do stronnictw opozycyjnych. Od nich spodziewa się ono gruntownej zmiany stosunków. Mówi to o zdrowiu narodu, ale ma i swoje słabe strony. Dziś już wiele ludzi w Polsce zwala winę mniej na sanację, a więcej na kierowników opozycji, zarzucając im, że się nie umieją zdobyć na żaden stanowczy krok, a fale zdrowego ruchu kierują umyślnie na fałszywe tory, aby się wyszumiał. Zamiast widzieć wielkie cele, — ograniczają się do ciasnego podwórka, zamiast szukać punktów stycznych, — wyszukują przeciwieństw, najlepsze zaś siły marnują na walkę pomiędzy sobą.

Zdając sobie sprawę z fałszywego położenia, nadrabiają miną, lub też przychodzą z niewczesnemi pomysłami. Proklamowanie n. p. wyborów w tych warunkach i zalecanie ich jako niezawodnego środka na zmianę, uważam za wybieg grubo niepoważny. Nikt nie uwierzy, ażeby sanacja chciała popełnić samobójstwo dla wygody „kawiarnianych rewolucjonistów", chcących się sianem wykręcić.

Jak jedni okno na wszystkie problematy zasłonili żydowskim chałatem, tak drudzy z dziwną gorliwością zajęli się zdzieraniem tego chałata, ażeby na tem miejscu powiesić przedmiot, który jeszcze mniej światła przepuści. Jak jedni całą mądrość ujrzeli w hitlerowskich wzorach, tak drudzy poza Marksem nic dojrzeć nie mogą. Dla jednych i drugich sprawy hiszpańskie stały się od polskich nietylko bliższe, ale pilniejsze. Chyba dlatego, że niczem nie grożą i sanacji nie przeszkadzają. Grając rolę nowoczesnego Zagłoby, usiłują społeczeństwu pokazywać Niderlandy, których mu nigdy nie dadzą. Mam przekonanie, że jest to robota tendencyjna, bo nie mógłbym sobie wyobrazić polityka, któryby za dziesięć lat nie pojąłby tak wymownej nauki, lub nie mógł dojrzeć rzeczywistości, bijącej go niemal codziennie po twarzy.

— A cóż pan myśli o komuniźmie? — zagadnąłem.

— Nie chciałbym pana przerażać, ale muszę stwierdzić, że szczególnie w czasach ostatnich zaczął on rosnąć z niebywałą siłą. Kierowany umiejętną ręką, wciska się wszędzie, nie wyłączając nawet bractw kościelnych. Działalność ułatwia mu zmieniona taktyka i stosunki, niestety, bardzo podatne. Za najbardziej niebezpieczne uważam to, że już nietylko nędzarze, nietylko ciemne tłumy, ale i ludzie inteligentni i majątkowo dobrze postawieni, zaczynają się z komunizmem oswajać.

— Jakież pan widzi przyczyny tego stanu?

— Powszechnie się mówi, że niedostatek i nędza, ja jednak uważam, że większe spustoszenie robi nasza niezawsze mądra, ale zawsze wszechwładna biurokracja. Nietylko, że daje ona zły przykład nadymaniem się, pańskością, traktowaniem z góry, ale nie liczy się z nastrojami i uczuciami ludności, a stanowiska używa dla wywarcia zemsty na niewygodnych przeciwnikach rządu i swoich. Poza głębszemi przyczynami panu znanemi, bardzo wiele złej krwi przyniosła stronniczość przy wyborach samorządowych, narzucanie wójtów, pisarzy, sołtysów przez ludność niecierpianych, wysokie budżety gminne, opłaty drogowe, robocizna, rozliczne szykany.

Ponieważ się to ciągnie latami, doszło do tego, że dziś trudno znaleźć w powiecie człowieka, któryby się nie czuł skrzywdzonym: jeśli nie przez starostę, to przez policjanta, jeśli nie przez urząd skarbowy, to przez komornika, czasem

KAROL BADER

Prusak w Polsce

Kto się w archaicznej mowie lubuje, znajdzie w małym zakątku działdowskiego powiatu żywe polskiego słowa zabytki. Język jest barwny i jędrny, w każdem niemal zdaniu, gdy się trafi mazur wymowny i bystry, jakieś przysłowia obrazowe a dowcipne, soczyste porównania i skojarzenia niespodziewane, a uleżałe i foremne. Wśród nazwisk mazurskich slawista czy heraldyk z niemieckiej pisowni bez trudu odszyfruje szlachetne czy szlacheckie pochodzenie: Ścibor i Pełka, Wilamowski, Mossakowski i Zakrzewski, Plewka, Ćwela i Żywiec i t. p., oczywiście ozdobione imionami Ottonów, Hermanów, Gottliebów, Ericków i t. d., nie tylko gwoli ewangelickiego pastora, ale i oficera pruskich kirassjerów, który pokolenia tutejsze kształcił i chował.

Wiadomo, jaka generacja z pruskiej szkoły wyszła, ale strapieniem i wstydem jest patrzeć na następne pokolenie, to, które wyrasta w państwie naszem i przez polską już przeszło szkołę. Po tylu latach rządów Rzplitej znajdzie się może wśród starych mazurów tu i ówdzie ostrożnego ugodowca. Wśród młodych zaś, po wsiach, niema już chyba ani jednego chłopca, któryby palcem dotknął jakiejkolwiek roboty społecznej, jeśli nie idzie ona wyraźnie pod niemiecką flagą. Żadnej łączności z społeczeństwem polskiem oprócz określonych ustawą konieczności.

Kto zna Niemców, wie, że z natury swej nader wrażliwi są i przystępni oddziaływaniu polskiej kultury i charakteru, i łacińskich jej form i nalotów. Tu nie wrodzona jakaś odporność mazurska działa, ani — tem mniej — przegroda obcej mowy: pruska tradycja stoi na tym małym skrawku tylko siłą walorów niemieckiej ofensywy, oraz — naszą słabością i błędami.

Szczegółowa analiza systemu obrony mogłaby łatwo rozrosnąć się do kilku monografij o umiejętnościach organizowania grupy mniejszościowej bez państwa i bez władzy formalnej. Rzetelna i bogata współdzielnia rolniczo-handlowa kontroluje produkcję i reguluje zbyt, współdzielnia kredytowa (o banki gdańskie i pruskie oparta) trzyma w ręku obieg pieniężny, zaś związek rolników, t. zw. Landbund daje małym, średnim i wielkim ochronę prawną, socjalną i ekonomiczną. Więź polityczna osnuta jest z zespolonej akcji miejscowego pastora, siostry „diakonisy", wędrującej od wsi do wsi z poradą i lekarstwem, i poważnej, solidnej, z Rzeszą powiązanej wielkiej własności ziemskiej.

Nie w tem jednak rzecz, by wałkować na tem miejscu czy podziwiać pruskie metody pracy zbiorowej. Sensacją jest fakt, że żyje w granicach naszych ułamek szczepu z krwi i kości i z mowy polskiego, że lata rządów polskich płyną i nic nie zdołało zachwiać wierności tych ludzi wobec Prus i Rzeszy. Kiedy w wiosce mazurskiej zacznie się bijatyka i spór pomiędzy mazurami a „bosymi antkami", których folwark z Kongresówki i tu ściągnął, rychło padnie pod adresem antków groźba, że „my wam pokażemy, kiedy Hitler tu przyjdzie". Żyje i ożywia niezachwiana wiara w powrót Prus, w ich niezwalczoną potęgę, trwa i krzepi mazura duch pruskiego naporu, ekspansji, i z tej wiary płynie ślepa wierność.

Władza polska sięga nieraz do represji, za obelgi, za sztandary z swastyka, za tajne nauczanie niemieckiego, za przechowywanie broni. Zapodziała się wszelako dawna siła atrakcyjna kultury polskiej, gubi się i rozprasza władza i moc państwa i narodu, i ta słabość czyni ze sprawy mazurskiej zjawisko niepokojące, symptom, który skłania do alarmu. Skoro na tym podatnym gruncie nie ruszył z miejsca proces assymilacji, ani serc nie zyskano, ani do rozsądku utrafiono, wielka musi być słabość i błędy poważne. Wyliczyć je można dla przekładu, choć znamy je gruntownie i na pamięć: rozkład i upadek społecznej pracy, ruina folwarków, ubóstwo chłopa i niski poziom kultury, zanik samorządu i gospodarki jego, administracja trwożliwa, wciąż zatroskana o osobiste sprawy bytu i karjery, i rozdarcie społeczeństwa w rozgrywkach politycznych. Nie w tem cel wyliczania grzechów, by je przypomnieć, ale w tej tylko intencji, by uwypuklić, jak fatalnie obciążają one siłę rozrostu i atrakcji na zewnątrz, wobec krytycznej mniejszości, by wskazać, jak głębokie ślady ryją w opinji, poza granicami, na obliczu Polski wobec sąsiadów i świata.

Fragment mazurski, choć drobny, niepozorny, godzien jest uwagi i wysiłku: w nim jak w zalążku przejrzeć łatwo próbę siły Rzeczypospolitej z zagonem pruskim wzdłuż Bałtyku.

Kronika zagraniczna

GDAŃSKIE QUI PRO QUO.

Nie wiemy jeszcze dokładnie, co się dzieje za kulisami obrad Rady Ligi Narodów w sprawie gdańskiej. Z głosów prasy zagranicznej, a zwłaszcza francuskiej, można wnosić, że projekt załatwienia tej sprawy, opracowany przez p. min. Becka i uzgodniony z Gdańskiem i Berlinem nie wywołał zachwytu ani w komi-

przez sędziego, a prawie zawsze przez narzuconego pisarza i wójta. Każdy czeka na satysfakcję, ale każdy wie, że ona może nastąpić jedynie przy zmianie. Stąd bardzo często słyszy się głosy: niech przyjdzie, kto chce, byle ci odeszli, gorszym nikt nie będzie. Jest to rzecz ludzka, ale niebezpieczna. Dziwię się, że podwładne władze swoim przełożonym o tem nie donoszą.

— Czy opisując te stosunki pan miał na myśli miasta czy wsie? — zapytałem.

— I jedno i drugie, raczej jednak wieś, bo tam mam szersze znajomości i więcej się wsią zajmuję. Przytem mi się zdaje, że atak bolszewicki jest obecnie specjalnie przeciw wsi wymierzony. Nie osłabił on jednak roboty w miastach.

Mówi się i pisze, że na wsi nastąpiła znaczna poprawa! To wielka złuda! Jeżeli podrożało zboże, to go chłop prawie nie sprzedaje, a gdyby nawet swoje produkty lepiej spieniężał, to nie starczy to na wzmożone potrzeby, a cóż dopiero mówić o tyloletniem zaniedbaniu. Ja się obawiam, że wiele wsi zacznie głodować wnet po Nowym Roku, bo albo zebrały za mało, albo musiały za dużo wyprzedać. Trzeba było przyodziewę kupić i podatki popłacić.

— Czy księża i nauczyciele nie mają wpływu na wieś?

— Mają niektórzy, jednak bardzo nikły, bardzo wielu wpływ ten straciło zupełnie. Dotyczy to przeważnie tych, co się zaangażowali w B. B. a szczególnie w wyborach samorządowych, czego im ludność darować nie może. Są zresztą inne lokalne przyczyny, a między nimi opłaty kościelne, spory sąsiedzkie i t. p.

Nauczycielstwo zostało prawie wszędzie znienawidzone i stosunek ten nie zmieni się prędko. Powodem to jego kilkuletnie wysługiwanie się sanacji i próby nawracania wsi. Obecnie przeważnie zamknęło się w szkole, będąc od wsi zupełnie odcięte. Ci co utrzymali lepsze stosunki, nie mieszają się do niczego. Zresztą, ostatnio chłopi się tak usamodzielnili, że się o radę wcale nikogo nie pytają.

Może to nawet poszło za daleko! Inna to materja. Byłem w Nowosielcach, brałem udział w uroczystościach sierpniowych. Podziwiałem nietylko masy, ale ich sprawność, nastroje, ofiarność. Łzy mi ciekły, kiedy patrzyłem na zachowawanie się chłopów i słuchałem ich przemówień. Takie chłopy. Wszak na nich czekaliśmy wieki, wszak o nich wzdychali do Boga pisarze, poeci. A jednak ich teraz nie zrozumiano, boję się, że z wielką dla Polski szkodą. Bodajby chłopi tej obrazy zbytnio do serca nie wzięli, i błąd został rychło naprawiony! Niech się więc śpieszy, komu należy, bo kusiciel stoi na progu każdej polskiej wsi, pokazując ostrożnie na raj sowiecki. Nie bądźmy też ślepi, ani zarozumiali. Ziarno pada na podatną glebę, pokusy działają. Skutki zaczynają być widoczne.

— Według pańskiej oceny niebezpieczeństwo jest i wzrasta dalej. Jakie pan widzi środki zapobiegawcze?

— Pierwszym warunkiem to konsolidacja rozbitego społeczeństwa, przywrócenie wiary w siebie i zaufanie do kierownictwa. Nie usuną go żadne środki policyjne, ani nacisk administracyjny, bo one nie trafiają w sedno rzeczy, a przytem niesłychanie spowszedniały. Nie wystarczą także przemówienia, wykłady, wiece, broszury, odezwy, bo one przestały zajmować i działać. Tu, gdzie część społeczeństwa z bolszewizmem walczy, druga go popiera, a jeszcze inna obojętnie się zachowuje, tu o zwycięstwie nie może być mowy.

Nie będą także pogromcami komunizmu ludzie przez społeczeństwo znienawidzeni, bo ono raczej wbrew ich radom pójdzie. Żeby zwyciężyć wroga, trzeba przestać walczyć ze sobą, żeby wyrwać złe z korzeniem, trzeba sięgnąć do samego źródła. Korzenie bolszewizmu tkwią w naszych stosunkach, a wyrwać je można tylko przez gruntowną zmianę. Naród musi odzyskać swoje prawa i znaczenie, musi poczuć się wolnym. Wszystkie inne środki, celu nie osiągną.

tecie trzech, ani w Radzie. Specjalnie nie zadowolił referenta spraw gdańskich, min. Edena. Trzeba było nawet oficjalnie sprostować, że nieprawdą jest, jakoby z tego powodu doszło do ostrej scysji pomiędzy nim a p. min. Beckiem. W każdym razie z przyjemnością stwierdzimy, że pomyliliśmy się, przypuszczając, że Rada z ulgą i zadowoleniem przyjmie raport p. min. Becka bez względu na to, jakie ustępstwa wobec Gdańska będzie zawierał. Okazało się, że ustępstwa p. min. Becka są zbyt duże nawet na gust Rady Ligi Narodów. Odbywa się tedy mozolne uzgadnianie poglądów, a właściwie wytargowywanie od p. Greisera ustępstw, które mu już p. min. Beck koncedował. Idzie o uprawnienia wysokiego Komisarza Ligi w sprawach wewnętrznych Wolnego Miasta. Nie wiemy, na czem się to skończy. Ale wiadomo, że p. min. Beck odgrywa w tem rolę obrońcy hitlerowskich interesów w Gdańsku, a pp. Eden i Delbos bronią interesów Ligi. Dotychczas sądziliśmy, że interesy Ligi pokrywają się w tym punkcie z interesem Polski. P. min. Beck widocznie sądzi inaczej. Dochodzi zatem do ciekawego qui pro quo, które nawet byłoby zabawne, gdyby nie to, że w grę tu wchodzą najżywotniejsze interesy państwa polskiego.

NA STARYM SZLAKU.

Tym razem p. min. Beck pojechał do Genewy starym swym szlakiem, przez Berlin, gdzie konferował z min. v. Neurathem. A na luty zapowiedziana jest wizyta w Polsce premjera Goeringa, polowanie w Białowieży, konferencja z marszałkiem Rydzem - Śmigłym, podobno jakieś odręczne orędzie kanclerza Hitlera. Słowem czułości i attencje. A prasa niemiecka, odpowiadając na wywody premjera Bluma, z lubością cytuje dobre doświadczenia, jakie poczyniła Polska w układzie bilateralnym z Niemcami. Zapewne te w Gdańsku...

NORMALIZACJA.

P. min. Papée złożył już w Pradze listy wierzytelne prezydentowi Beneszowi. Utartym zwyczajem wygłoszono przy tej sposobności przemówienia, których P. A. T. nie uznała za właściwe podać w swym komunikacie. Właściwie nie wiadomo dlaczego, bo przemówienia z obu stron były bardzo ostrożne i nie wyszły poza zapowiedź usiłowań normalizacji wzajemnych stosunków sąsiedzkich. Czyżby i to było dla niektórych czynników w Polsce — za dużo?

PUBLICZNE ROKOWANIA.

Wywiad Mussoliniego, mowy min. Edena, mowa lyońska premiera Bluma, orędzie prezydenta Roosevelta, zapowiedź mowy kanclerza Hitlera w Reichstagu — wszystko to markuje etapy rokowań, które toczą się publicznie i otwarcie na oczach całego świata pomiędzy demokracjami i państwami totalnemi. Znamy ten typ rokowań. Toczyły się one w ten sam sposób przed zakończeniem wielkiej wojny i uzyskały punkt kulminacyjny w znanem orędziu prez. Wilsona, które stało się podstawą kapitulacji Niemiec i Traktatu Wersalskiego. Rokowania tego typu oznaczają, że w poufnych rozmowach dyplomatów nie można dojść do porozumienia i że pozostaje apel do najwyższej instancji, opinji publicznej, która ostatecznie decyduje o rozstrzygnięciu. Wówczas szło o zakończenie wojny i warunki pokoju, dziś idzie o warunki pokoju lub nową wojnę. Zdecydować ma opinia publiczna, nie mniej dziś zresztą okłamywana i urabiana przez propagandę, niż czasu wojny i nie mniej izolowana od niepożądanych wpływów. Ale wielkich mów kierujących mężów stanu zeskamotować nie można. Ponad głowami rządów rozmawiają zatem kierownicy polityki światowej z narodami, które powziąć mają decyzje. Znaczy to w każdym razie, że decyzja ostateczna jest już bliska. Stan „ni mir ni wajna" nie może trwać wiecznie. Publiczne rokowania wyłonić muszą wkrótce ostateczną decyzję.

Mysłowice

Po Krakowie przyszła kolej na Dyrekcję w Katowicach, zademonstrowania, do czego prowadzą panujące w kolejnictwie stosunki. Mysłowice otworzyły w końcu oczy społeczeństwu, że się coś gruntownie popsuło w naszem kolejnictwie, skoro wypadki powtarzają się i zbyt często i coraz poważniejsze. Świadczy to niekorzystnie o sprawności ruchu, będącej przecież wykładnikiem całości gospodarki kolejowej.

Źródło widocznych niedomagań naogół mało znane jest opinji publicznej, która nie lubi się mięszać do spraw zawodowych. Otóż od kilku lat o losach naszego kolejnictwa decydują czynniki, wysortowane z czynnej służby wojskowej. Uznały one za wskazane zignorować dotychczas obowiązujące zasady i wprowadzić nowe, które po kilku latach eksperymentowania musiały doprowadzić do obecnego stanu rzeczy, niezgodnego nietylko z interesem samego kolejnictwa, ale i Państwa.

Biorąc w swoje ręce sprawy personalne i wyłączną decyzję o losach prawie dwustutysięcznej armji cywilnych pracowników, podporządkowały sobie tem samem całość gospodarki kolejowej bez względu na jej fachowy charakter. Stąd powstał nowy system, który nie licząc się ani z wymogami wiedzy zawodowej, ani gruntownej znajomości służby, ani z wartością moralną pracowników, wprowadził przemożnego ducha protekcji i wysługiwanie się rządzącemu obozowi bez względu na dobro kolejnictwa. Tem się tłumaczy, że niewłaściwi ludzie stanęli na odpowiedzialnych, a dla nich niewłaściwych stanowiskach, co nie tylko demoralizuje ogół kolejarzy, ale niszczy siłę sprawności i wewnętrzną więź naszego kolejnictwa. Czy można się dziwić, że w takiej atmosferze dochodzi do wypadków, na tle różnego rodzaju zaniedbań służbowych, zwłaszcza, że w dodatku różne przybudówki, powołane do życia dla ochrony i utrzymania systemu, jak słynne K. T. U., Rodzina Kolejowa, chóry, orkiestry, teatry, zawody, ustawiczne parady i defilady — nazywane szumnie „pracą społeczną" — obciążają w wysokim stopniu ogół pracowników z niewątpliwą szkodą dla służby.

Mysłowice zatem dają dużo do myślenia. Oby były już ostatnim sygnałem, przestrzegającym miarodajne czynniki przed dalszem trwaniem w tak zgubnym systemie gospodarki kolei. Czas najwyższy zawrócić z niebezpiecznej drogi. Wymaga tego bezwzględnie interes Państwa.

Civis.

PRZYPOMNIENIA

NARÓD MA CZAS.

O pewnej sytuacji w naszych dziejach porozbiorowych (sprawie przebrzmiałej i nieaktualnej) pisał Askenazy w szkicu p. t. „Założenie Królestwa Polskiego" (1906):

„Zapewne: z jednej strony był zwycięski monarcha, z drugiej — podbity naród; lecz właśnie dlatego nasampierw winien był zdeklarować się monarcha; naród wieczny, ma czas. Nie trzeba było wtedy narodowego z góry zadatku, kapitulacyjnego adresu ani deputacyj, nie trzeba, nie wolno było skazić, lub choćby tylko narazić tej rzeczy tak lotnej, tak czułej, tak trudno uleczalnej, a tak drogocennej: sumienia narodowego, powagi narodowej"...

Co pozostaje zawsze aktualizmem: nasampierw winni deklarować się aktualni panowie sytuacji, jeśli chcą porozumienia z narodem.

„Naród wieczny — ma czas".

Jedno tylko. Gdy pisał to znakomity historyk — naród był, nie było państwa. Ani troski o nie. Ani obawy, czy przetrzyma. Naród nie może dzisiaj, jak nie mógł wtedy, narazić swego sumienia i powagi. Ale nie może też trwać bezwolnie. Odpowiedzialność jest po stronie tych, którzy winni „zdeklarować się" pierwsi.

TEMAT DO OKÓLNIKA.

(M) Nasz Premjer ma rzetelne zmartwienia z „kolegami" z Sejmu i Senatu. Zaproponował „sztamę". Oni zaś wciąż krytukują i „atakują" jakiemiś pretensjami, przyczem nie rozumie już „subtelności", których się czepiają. Co gorsza, bywa, że poseł - legon zapomina o zapowiedzi Wodza Naczelnego (nie tyczącej się może zresztą posłów) „ja będę za was politykował", tylko sam próbuje politykować po swojemu. Słowem kłopoty z tą *„Chambre introuvable"*.

Ależ jest rada, panie Premjerze. Od czegóż nasze „Przypomnienia"? Sięgamy w czasy Księstwa Warszawskiego. Prezes Senatu i marszałek sejmowy mianowani. Rzecz wcale wygodna. Senatorowie wszyscy mianowani. Hm, i to bywa niepewne. Posłowie wybierani raz na dziewięć lat. Rzecz godna zastanowienia. Ale sejm zbiera się tylko co dwa lata. To już bardzo praktyczne. Nie na cztery miesiące, ale najwyżej na piętnaście dni. To już bliskie ideału. Ale co najważniejsze: „członki tylko rady stanu i członki komisji poselskiej mają prawo mówienia w Izbie." Inne „członki" Sejmu mają milczeć, jak ryby. Tu trafiamy w sedno.

Pan Premjer martwi się, że trzebaby zmieniać konstytucję? Ależ ważniejsze rzeczy załatwia się okólnikiem!

JAN BEZŁASKI.

Polityka Inwestycyjna

Rząd, który oparty jest o jakąś ideę, jakiś program z natury rzeczy dąży do skoordynowania wszystkich swoich działań i poddania ich wspólnemu celowi. W takim wypadku i działalność inwestycyjna rządu sharmonizowana jest z ogólną polityką gospodarczą i społeczną: z planów inwestycyjnych można wtedy odczytać, jaką politykę prowadzi rząd, do jakich celów dąży. Żadnej takiej myśli przewodniej nie można odnaleźć w t. zw. planie inwestycyjnym, który rząd wniósł do sejmu. Jeśli zaś zestawić to co się oficjalnie m ó w i na temat zasadniczej linji polityki gospodarczej z poszczególnemi pozycjami planu inwestycyjnego, to niesposób powstrzymać się od wrażenia, że oświadczenia oficjalne nie są oparte na konsekwentnej woli i świadomości zadań, jakie przed nami stoją. Oficjalnie bowiem mówi się o podnoszeniu obronności kraju i o jego uprzemysłowieniu, koniecznem zarówno ze względów gospodarczych jak społecznych. Ale nigdzie jeszcze nie spotkaliśmy organicznego powiązania tych rzeczy, prawidłowego shierarhizowania prowadzących do tych celów środków, ustalenia właściwej kolejności działań.

Nie chcemy być jednostronni: razem z planem inwestycyjnym wniesiony został projekt ustawy o dotowaniu kwotą 1 miljarda złotych Funduszu Obrony Narodowej, który w bardzo znacznej części będzie — a przynajmniej powinien być — przeznaczony na cele inwestycyjne. Dlatego też t. zw. plan inwestycyjny jest w pewnej mierze tylko uzupełnieniem Funduszu Obrony Narodowej. Ale też właśnie tylko w pewnej mierze, nie może zaś być tylko taką sobie „przyczepką" do Funduszu Obrony Narodowej. Wydaje się przytem, że ponieważ przy dzisiejszej technice wojowania, przy „nation armée", która prowadzi wojnę, kiedy w gruncie rzeczy absolutnie w s z y s t k o ma znaczenie z punktu widzenia obronności kraju, najbardziej naturalnym podziałem pracy między departamentami wojskowemi i cywilnemi, między Funduszem Obrony Narodowej a planem inwestycyjnym, byłoby powierzenie czynnikom wojskowym zagadnień b e z p o ś r e d n i o związanych z obroną kraju, a czynnikom cywilnym zagadnień, związanych p o ś r e d n i o z tym celem. Napewno rozdziału takiego nie da się przeprowadzić w sposób idealny, ale dążyć do tego trzeba, inaczej bowiem nie będzie można doprowadzić do tego, aby właściwi ludzie zajmowali się właściwemi rzeczami.

Wróćmy do samego planu inwestycyjnego. Ogólna jego suma wynosi 264 milj. zł. Jest to, oczywiście, niezmiernie mało, jeśli chodzi o ogrom potrzeb niezaspokojonych. Ale z tego braku rozmachu nie można robić twórcom planu inwestycyjnego zarzutów. Nietylko dlatego, że porobiliśmy już jaknajgorsze doświadczenia z „radosną twórczością" państwową i nie dlatego nawet, że rozmach w planach inwestycyjnych pociąga za sobą również rozmach w nowych obciążeniach obywateli. Ale przedewszystkim dlatego, że bynajmniej nie potrzeba kolosalnych sum, aby przy rozumnej polityce inwestycyjnej osiągnąć duże efekty.

Otóż dwa są podstawowe warunki, aby takie duże rezultaty osiągnięte być mogły: pierwszy — to doprowadzenie do tego, aby plan inwestycyjny był jednym z rozdziałów polityki gospodarczej rządu, wtedy bowiem działanie inwestycyj państwowych wzmacniane jest wszystkiemi innemi zarządzeniami państwowemi w dziedzinie gospodarczej i nawzajem; drugi warunek — to takie wydatkowanie pieniędzy państwowych, aby pociągnęło za sobą inwestowanie kapitałów prywatnych, a już co namniej wzrost obrotów w możliwie najdłuższym łańcuchu.

Co do pierwszego warunku, to trudno bardzo powiedzieć, czy plan inwestycyjny go spełnia, czy nie, ponieważ bardzo trudno jest powiedzieć, jaka jest i do czego k o n k r e t n i e zmierza polityka gospodarcza rządu. Znaczna chaotyczność w planie inwestycyjnym zdaje się być odpowiednikiem tej nieokreśloności w polityce gospodarczej rządu.

Drugi warunek — wywołanie jaknajwiększej ilości procesów gospodarczych — pociąga za sobą następujące postulaty: niekoncentrowania wydatków na jednej dziedzinie i dokonywania przedewszystkiem takich inwestycyj, które wymagają jaknajwiększej ilości jaknajbardziej wykwalifikowanej pracy. Albowiem wykopanie rowu daje zatrudnienie tylko tym, którzy ten rów kopią, natomiast budowa elektrowni zatrudnia nietylko ludzi bezpośrednio przy tem zajętych, ale cały szereg przedsiębiorstw i pracowników, których praca jest niezbędnie potrzebna, aby elektrownię można zbudować. A dalej: po wybudowaniu elektrowni cały szereg miast, miasteczek i wsi zakłada urządzenia oświetleniowe, powstawać mogą oparte na energji elektrycznej warsztaty i przedsiębiorstwa, słowem, stwarza się trwały impuls do dalszego rozwoju. Następnym postulatem jest przeznaczenie na każdą inwestycję takiej kwoty, aby miała ona jakieś realne, poważniejsze znaczenie, aby nie była tylko rozpoczynaniem czegoś, co nie ma widoków na dokończenie.

W planie inwestycyjnym pierwszy postulat jest spełniony, gdyż plan obejmuje cały szereg pozycyj. Natomiast trudno dopatrzeć się między niemi jakiejś logicznej hierarchji, a co do niektórych pozycyj napewno lepiej było dać sobie spokój, jeżeli nie można było przeznaczyć na nie jakichś poważniejszych kwot. Cóż to bowiem znaczy 2 milj. zł. na podstawowe inwestycje rolne? Albo to jest grandilokwencja, albo nieporozumienie. Co można zrobić za 5 milj. zł., przeznaczonych na budowle morskie? Wolelibyśmy, aby jedna i druga pozycja powiększyła skromną kwotę 14,2 milj. zł. na budownictwo państwowe w zarządzie poszczególnych ministerstw, mianowicie z przeznaczeniem na budowę szkół, przedewszystkiem zaś szkół powszechnych. Jesteśmy wielkimi zwolennikami zarówno elektryfikacji jak gazyfikacji kraju — w kilku artykułach na temat upowszechnienia własności podkreślaliśmy, jakie to ma znaczenie dla struktury gospodarczej kraju. Ale nie wierzymy, aby za 12 milj. zł. na elektryfikację i za 10 milj. zł. na gazyfikację można było dokonać czegoś istotnego w którejkolwiek z tych dziedzin. Natomiast przeznaczenie 22 (12 + 10) milj. na elektryfikację mogłoby dać dostrzegalne rezultaty.

Dziwnem się wydaje, że w planie inwestycyjnym nie pomyślano zupełnie o zagadnieniu motoryzacji kraju. A przecież przeznaczenie np. 10 milj. zł. na obniżenie opodatkowania benzyny lub podatku od pojazdów mechanicznych wywołałoby napewno silne wzmożenie budowy i zbytu nowych samochodów. A właśnie budowa samochodów daje początek temu łańcuchowi prac i zatrudnień, który powinien być celem polityki inwestycyjnej.

Tak jak jest obecnie ułożony, plan inwestycyjny robi wrażenie wypadkowej mozolnych przetargów między poszczególnemi resortami, a nie jednolitej i przemyślanej koncepcji.

T. TRZASKA.

List z Krakowa

(Korespondencja własna „Odnowy")

Nie wiadomo, czy to leżało w intencjach p. Ignacego Matuszewskiego, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że niektóre koła pragną z jego odczytu, wygłoszonego dnia 12 b. m. w auli uniwersytetu Jagiellońskiego, uczynić ewenement polityczny i to o niebylejakiem znaczeniu. Świadczy o tem choćby artykuł wstępny w „Dzienniku Poznańskim", który dopatrzył się w odczycie b. ministra skarbu ataku na rząd obecny; świadczy także i ten fakt, że streszczenie odczytu ukazało się zaraz na drugi dzień w niektórych pismach, wychodzących poza Krakowem. Nie zdarzyło się to dotychczas z odczytami, urządzanemi przez Towarzystwo Ekonomiczne w Krakowie, aczkolwiek były wśród nich prelekcje, które mogły zainteresować społeczeństwo w całym kraju.

Dla Krakowa, a ściślej mówiąc, dla tych, którzy mieli możność wysłuchania odczytu p. Matuszewskiego — odczyt odbył się za zaproszeniami, bardzo gorliwie sprawdzanemi przy wejściu na salę

— był on przedewszystkiem sensacją polityczną, bo przecież z krytyką polityki gospodarczej systemu wystąpił nie byle kto: wybitny przedstawiciel tego systemu, współtwórca tej polityki, który przez parę lat czynnie współdziałał w kształtowaniu się obecnych stosunków gospodarczych i nadawał ton polityce finansowej państwa. Nie bez zdumienia i pewnego zażenowania słuchano wywodów, które mogły świadczyć o nawróceniu się p. Matuszewskiego na liberalną politykę ekonomiczną, głoszoną konsekwentnie przez ekonomistów krakowskich. Wprawdzie była to krytyka pośrednia bez wymieniania nazwiska i dat, ale, mimo to, inteligentne audytorjum bez trudu stawiało kropkę nad i oraz uzupełniało sobie wszelkie niedomówienia.

Pan Matuszewski mówił o kapitalizacji wewnętrznej Polski, a więc wybrał sobie za temat zagadnienie, które musi wzbudzać głębsze zainteresowanie, tem więcej, iż pozostaje ono w ścisłym związku z polityką kredytową, będącą przy obecnym systemie rządzenia jednym z najważniejszych środków polityki wewnętrznej. Ileż to razy uciekano się do nacisku finansowego, albo uzależniano udzielenie kredytów od przyjęcia warunków, nie mających nic wspólnego z istotnemi potrzebami życia gospodarczego!

Ale wróćmy do odczytu p. Matuszewskiego. Według jego wywodów, kapitalizacja nasza przejawia się w dwuch formach: w formie kapitalizacji przymusowej i dobrowolnej. Kapitalizacja przymusowa, oparta na wszelkiego rodzaju tytułach prawno - publicznych, góruje tak znacznie nad kapitalizacją dobrowolną, że doprowadziła do tego, iż głównym dysponentem kapitału w Polsce jest państwo. Stąd bierze się decydująca rola państwa w wyznaczaniu dróg kapitału. W krajach, opartych o ustrój kapitalistyczny, decydującem kryterjum dyspozycji kapitałowej jest rentowność. W Polsce natomiast brak kryterjów któreby wskazywały, dokąd należy kierować środki pieniężne, aby te zamieniły się na kapitał produkcyjny. U nas decydującem kryterjum jest cel przeznaczenia środków pieniężnych, ale nie rentowność ulokowanego kapitału. Dlatego niema u nas rynku pieniężnego w prawdziwem tego słowa znaczeniu, niema również kredytu, niema stopy procentowej. Kraj, w którym niema kredytu, lecz są kredyty, gdzie przy udzielaniu kredytów główną rolę gra znajomość osobista przedsiębiorcy, gdzie stopa procentowa banku emisyjnego jest najwyższa, kraj taki, zdaniem p. Matuszewskiego, nie prowadzi polityki gospodarczej, opartej na zasadach kapitalistycznych. Polityka kredytowa w takim kraju przypomina system strzelania do celu w ciemnym pokoju: czasem można trafić, ale najczęściej strzały są chybione. Reasumując swe wywody, stwierdził p. Matuszewski, że Polska jest krajem biednym dlatego, że postępuje jak kraj bogaty, bo pozwala sobie na zbytek niekonsekwencji w swej polityce gospodarczej.

Oczywiście, b. minister skarbu systemu, który doprowadził kraj do takiej sytuacji, że nawet najbardziej wtajemniczeni nie są w stanie określić, na jakich podstawach gospodarczych — a my dodamy — i politycznych — jego ustrój się opiera, nie mógł wyraźniej mówić, ale to, co powiedział, wystarczyło w zupełności, żeby w umysłach paruset słuchaczy utrwaliło się przekonanie, że jednak p. Matuszewski jest człowiekiem odważnym, kiedy nie zawahał się potępić polityki gospodarczej systemu i nie oszczędzał siebie, jako jednego z tych, którzy tę politykę prowadzili. Tak niewątpliwie myślano, ale nikt tego nie powiedział głośno, bo dyskusji po odczycie nie było.

Nie powiedziano tego również następnego dnia na „czarnej kawie", urządzonej na cześć p. Matuszewskiego przez Towarzystwo Ekonomiczne w klubie Społecznym. Wprawdzie toczyła się tam dyskusja, ale kurtuazja gospodarzy i nielicznych gości nie pozwalała na żadne reminiscencje z tak bliskiej jeszcze przeszłości. Kilku mówców ze specjalnym naciskiem podkreślało swe zadowolenie, że zasady głoszonego przez nich liberalizmu ekonomicznego uznał p. Matuszewski za nadające się do realizacji w praktycznem życiu państwowem, a inny z przemawiających wyraził pogląd, że może byłoby dobrze mianować kilku ekonomistów generałami, bo wtedy zyskaliby większy wpływ na kształtowanie się stosunków gospodarczych i na ową nieszczęśliwą politykę kredytową, nad którą tak ubolewał p. Matuszewski.

Z sensacji politycznej, którą do pewnego stopnia był krakowski odczyt b. ministra skarbu, niektórzy chcą ukuć ewenement polityczny. Jeszcze jeden ciekawy przyczynek do naszych czasów.

Świat pracy

PRZEMYSŁ DRZEWNY.

W wielu okolicach kraju, zwłaszcza na Wołyniu, przeprowadzona została akcja w sprawie podwyżek zarobków robotniczych. Tu i ówdzie doszło nawet do strajku. Zatarg został załatwiony z korzyścią dla robotników, którzy uzyskali podniesienie płac od 20 do 25%.

W HADLU I BIUROWOŚCI.

Organizacje pracowników umysłowych występują do Międzynarodowego Biura Pracy z projektem zmniejszenia bezrobocia. Zgłosiły wniosek, by na porządku obrad międzynarodowej konferencji pracy, która będzie zwołana w najbliższym czasie, przy udziale wszystkich państw europejskich, umieszczono plan skrócenia czasu pracy w handlu i biurowości do 6 godzin.

NIEDOMAGANIA KOMITETÓW POMOCY ZIMOWEJ.

Sprawa pomocy zimowej dla bezrobotnych nie została przez główny komitet omówiona z lokalnemi komitetami, wskutek czego z wielu stron kraju dają się słyszeć skargi i narzekania na dowolne komentowanie wskazówek władz naczelnych w sprawie tych zasiłków. Niektórzy wójtowie czy kierownicy zarządów miejskich wymagają od bezrobotnych za udzielaną im pomoc pracy, przytem nie zawsze praca ta idzie na korzyść publiczną. Bezrobotni wprawdzie nie uchylają się od pracy, ale zdarzają się w tych wypadkach jaskrawe nadużycia. Np. wójt w Świątnikach i Wrząsowie pod Krakowem za pracę bezrobotnym korzystającym z „pomocy zimowej" zapłacił tylko część należności w gotówce, resztę wydał w naturze, licząc przytem za nie dużo drożej niż wynosiła cena rynkowa. Wynikł zatarg i wójt musiał skapitulować.

J. J.

WALKA O UMOWY ZBIOROWE.

W przemyśle polskim trwa od pewnego czasu walka o umowy zbiorowe. Przebieg jej jest niejednokrotnie niezwykle ostry. Przytem nie chodzi tu tyle o nowe umowy zbiorowe, ale o obronę umów już zawartych, przemysłowcy bowiem, szczególniej ci drobniejsi, zatrudniający po kilkudziesięciu robotników, nie honorują umów zbiorowych. Poszczególni robotnicy, w obawie utraty pracy, godzą się na nadużycia i dopiero, gdy struna jest zbyt przeciągnięta, wybuchają zatargi.

W ostatnich kilku tygodniach zatargi stały się epidemiczne, co doprowadza do strajków, przytem wszystkie strajki — weszło to już w zwyczaj — mają charakter okupacyjny. Dopiero unicmożliwienie uruchomienia przedsiębiorwa z innymi robotnikami zmusza przedsiębiorców do godzenia się na ingerencję inspektoratów pracy i następuje zawarcie umowy w sprawie umów zbiorowych. Brzmi to zbyt nieco paradoksalnie, niestety tak się naogół dzieje i, jak stwierdzono w miesiącu grudniu r. ub., 75 proc. zatargów między przemysłowcami i robotnikami zostało zlikwidowane zawarciem takich właśnie umów. Najwięcej tych zatargów było w Łodzi.

Dla ścisłości trzeba podkreślić, że wielkie zakłady przemysłowe do tych metod się nie uciekają. Dotyczy to przeważnie fabrykantów tak zw. oficynowych i przeważnie żydowskich.

NIESZCZĘSNA BIUROKRACJA.

Coraz częściej pojawiają się wśród bezrobotnych utyskiwania na nieudolne funkcjonowanie poszczególnych komitetów pomocy zimowej. Wynika to stąd, że władze administracyjne, które chciały widocznie zdobyć trochę uznania wśród najbiedniejszych, całą akcję zatrzymały przy sobie. Czynnika społecznego prawie tam nie dopuszczono, wszystko jest zbiurokratyzowane, na czele komitetów stanęli urzędnicy, począwszy od przewodniczącego głównego komitetu ministra spraw wewnętrznych, a skończywszy na burmistrzach i wójtach, jako kierownikach komitetów lokalnych. W stolicy przewodniczącym komitetu jest prez. Starzyński.

Tego rodzaju metoda przynosi same minusy: bezrobotni niezadowoleni, a władze, miast zyskać uznanie, dają tylko jeszcze jeden więcej dowód swej nieruchliwości i stwierdzają po raz niewiadomo już który, że sprawy społeczne lepiej potrafi załatwiać czynnik obywatelski. Nieszczęsna ta biurokracja.

IRENA PANNENKOWA.

Marat o Polsce

Lwowskie „Sygnały“ w numerze grudniowym przypominają i drukują w przekładzie J. Borejszy nadzwyczaj ciekawe uwagi J. - P. Marata o Polsce.

Jest to urywek z powieści w listach, napisanej przez Marata w Anglji w r. 1770, pod ciekawym nagłówkiem „Un roman de coeur — Lettres Polonaises“. Rękopis, za życia autora nie drukowany wcale, przechowywała siostra Marata, Albertyna, która stworzyła istne muzeum pamiątek po bracie. Ofiarowała go przed śmiercią wraz z innemi rzeczami pewnemu młodemu republikaninowi. Policja znalazła ten rękopis przy rewizji, i ogłoszono go drukiem w r. 1848. W ten sposób policja przyczyniła się do opublikowania młodzieńczego utworu wielkiego rewolucjonisty, — coprawda z opóźnieniem lat 78. Habent sua fata libelli...

O postaci Marata ostatnio myślałam wiele, gdy tłumaczyłam świeżo w Warszawie ogłoszoną drukiem historję - powieść o Karolinie Corday, pióra angielskiego pisarza Josepha Shearinga, pod sensacyjnym tytułem „Anioł Morderstwa“. Tytuł ten zresztą został wzięty żywcem z Lamartinowskiego „L'Ange de l'Assassinat“.

Shearing kreśli niezmiernie żywą i barwną sylwetkę Marata, głównie z ostatniego czterolecia jego życia, z epoki Rewolucji, jako jednego z głównych heroldów i wodzów Teroru.

Marat był już wtedy ciężko chory: cierpiał na jakąś okropną chorobę skórną, na zapalenie oczu, chroniczną niestrawność, ciągłe bóle głowy, obwiązanej wiecznie szmatą, w occie umaczaną.

Śmierć i cierpienie nieodstępne miał w sobie i szerzył śmierć i cierpienie dokoła siebie, z nienawiścią i pasją, nagromadzoną w ciągu długiego żywota, pełnego daremnych wysiłków, bezowocnych namiętności, zawiedzionych ambicyj, — teraz, nareszcie! u schyłku tego życia obdarzony upragnioną potęgą i chwałą, płomienny pamflecista, świetny dziennikarz, genjalny demagog, bożyszcze motłochu, dyktator Paryża w r. 1793...

W r. 1770, kiedy pisał swoją rzecz o Polsce, był jeszcze zupełnie inny. Był wtedy jeszcze młody, zdrów i silny, wierzył w swoją przyszłość i sławę, której szukać miał kolejno na najróżniejszych drogach: pracy literackiej, naukowej, lekarskiej, odkrywczej — ciągle nadaremnie. Był wtedy... monarchistą.

Miał wtedy lat 27. Ale już wykazywał cechujące go zawsze, — obok niezmiernej ambicji, zawiści, mściwości, braku skrupułów — tak ogromne zalety, jak imponująca pracowitość, żelazna siła woli, oraz przenikliwa inteligencja, zwłaszcza w zakresie spraw politycznych.

To też sąd jego o Polsce współczesnej, uderza nas dziś jeszcze miejscami swoją trafnością i ciętością, mimo naiwności różnych à la Rousseau.

Pamiętajmy, że pisał to w r. 1770, — więc *na dwa lata przed pierwszym rozbiorem.*

Powtarzamy wedle przekładu p. Borejszy urywki z djalogu dwu ludzi: Polaka (Ja) i Francuza (On). Opinja Francuza jest oczywiście opinją Marata.

Mówi więc „On“ o ustroju Polski ówczesnej:

SZLACHECKA ELITA I NIEDOLA LUDU.

„Posiadacie rząd najgorszy ze wszystkich istniejących... Zrozumie pan wraz ze mną okrutność tego, że praca, nędza i głód są udziałem większości, dostatek zaś i używanie — znikomej mniejszości...

...Przyroda dosyć obficie was obdarzyła, ale ponieważ przytłaczająca masa waszego narodu pozbawiona jest tych drogocennych skarbów, jakie daje *wolność* — wszystkie inne bogactwa stają się bezużyteczne.

W Polsce są tylko tyrani i niewolnicy, dlatego brak ojczyźnie synów dla jej obrony...

W Polsce niema właściwie narodu: *garstka wpływowych ludzi rozporządza tam wszyskiem,* rozstrzyga we wszystkich sprawach, rozkazuje wszystkim, wszystko niszczy, wszystkiem poniewiera i pomiata. *Oni dysponują koroną i całym narodem, oni też tworzą prawa. A tworząc je, nie podlegają im sami, lecz czelnie i bezkarnie je niszczą...*

„Większość“ narodu *to godny politowania tłum niewolników,* skazany na nędzny trud; *należałoby się ich obawiać, gdyby nie to, że przywykli do kajdan.*

Jeśli w Polsce naród nic nie stanowi, gdzież tkwi siła społeczeństwa? Czy stanowią ją ci, co naród uciemiężyli?... Lecz *ci drobni tyrani dalecy są od jedności:* istnieją między nimi wciąż swary i różnice zdań“...

OPINJA O „ZAPRZYJAŹNIONYCH“ SĄSIADACH.

On. Zbliża się chwila, gdy z kolei otrzymacie monarchów, którzy pozbawią was waszych przywilejów...

Ja. Ależ panie, co też pan opowiada? Czyżby pan sądził, że, lekceważąc międzynarodowe prawo, sprawiedliwość i sumienność, nasi arbitrowie zechcą zostać uzurpatorami?...

On. Jakże szybko rozwieją się wasze nadzieje! Mocarstwa, które z bronią w ręku weszły do waszego zrujnowanego kraju, pod pozorem odbudowania w nim pokoju, pragną go tylko zająć, zawładnąć nim, a wam przynieść niewolę... *Gdyby nic nie zamierzali przeciwko wolności Polski, ...jenerałowie ich nie wysilaliby się tak, by opanować wszystkie wasze fortyfikacje,* przeprawy i przełęcze; zdobycie ich umożliwi im dostęp do serca kraju, bezbronny zaś kraj wydadzą na łup...

Ja. Jest pan wobec nich niesprawiedliwy; nie, nigdy nie uwierzę, by mogli tak niesumiennie zlekceważyć zasady humoru.

On. Honor?! Ach, śmieszy mnie pan tylko!... Czy władcy coś wiedzą o honorze?... *Im więcej mówią o swych dobroczynnych zamiarach, tem mniej należy im dawać wiary.*

PRZEPOWIEDZENIE METODY ROZBIORÓW.

On. Choć nie jestem prorokiem, mogę jednak przewidzieć bieg wypadków. Gdy przekonają się, że już niezdolni jesteście do oporu, *...nagle zrzucą maskę.* Ale, nie chcąc wzburzyć przeciw sobie umysłów, *postarają się pokryć swoją samowolę pięknemi pozorami.* Dla oszukania tępego tłumu (mówi Marat, bożyszcze tłumu!...) *zaczną wydawać manifesty, odkopywać prochy przodków, z a c z n ą s i ę g r z e b a ć w s t a r o d a w n y c h u m o w a c h,* ożywiać wątpliwe prawa. *I wkońcu... okaże się, że prowincje te należą do nich, a wy panowaliście tam na podstawie niewiadomo jakich praw.“*

W tej ostatniej „przepowiedni“ wykazał Marat rzeczywiście niezwykłą bystrość. Przewidział nietylko metodę Rosji, która powoła się na swoje „prawa“ do „wszystkiej Rusi“, ale i Austrji, która miała istotnie „odgrzebać“ tytuły „prawne“ różnych Kolomanów węgierskich z XIII czy Ludwików z XIV w. do ziemi halickiej, ażeby móc *zabór* określić jako *„rewindykację“* tak nazwanej „Galicji i Lodomerji“.

OPINJA O — DROGACH RATUNKU.

Polak pyta się dalej, co „On“ sądzi o możliwości znalezienia dróg wyjścia? Na co „On“ odpowiada:

„Dążenie do tego, żeby usunąć między wami *wszelkie* przeciwieństwa, zetrzeć *wszystkie* krzywdy, *zagłuszyć wszelki brak zaufania,* i *drobnemi sztuczkami zadowolić* wszystkie partje — *to tylko głupota i niezaradność.* Zło zakorzeniło się głęboko, i środek przeciw niemu powinien być bardzo silny.

Trzeba *podciąć sam korzeń.* Należy *wskazać narodowi jego prawa i skłonić go, by zażądał ich przywrócenia.* Należy mu dać do ręki broń, poskromić... drobnych tyranów, którzy naród uciskają, *obalić potworny gmach waszego rządu, stworzyć nowy na zasadach sprawiedliwości.*

Oto jedyny sposób, by wewnątrz tej cudnej krainy *utrwalić pokój, jedność, wolność, dostatek, zamiast waśni,* niewolnictwa i głodu, które kraj gubią.“

*

Cokolwiek sądzić można o Maracie u schyłku życia, i jego ówczesnych okropnych krwawych wyczynach, — bystrość *tego młodego 27-letniego Marata* w ocenie współczesnych i przyszłych wypadków w tak odległej i obcej mu Polsce,— jest istotnie uderzająca.

Trzeba umieć się uczyć także od przeciwników. Może nawet nieraz nadewszystko — od przeciwników. Nad niejedną też uwagą Marata można się nie bez pożytku zadumać dziś jeszcze.

JAN GUTRY.

Problemat samorządu

O sprawach samorządu coraz częściej pojawiają się wiadomości w prasie stołecznej i prowincjonalnej. Mieszczą się one zarówno w kronice politycznej, jak i w kronice kryminalnej. Niektóre z nich jednak domagają się wprowadzenia działu „z oślej łąki", istniejącego czasami w pismach humorystycznych. Przykłady.

Na zebraniu Rady Naczelnej Związku Miast Polskich, które odbyło się w Warszawie przed kilkoma dniami, jeden z dygnitarzy rządowych, mianowany w swoim czasie dygnitarzem samorządowym, dowodził, że miasta nasze powinny pomieścić znaczną część nadmiaru ludności wiejskiej i że zdołają tego dokonać, o ile prowadzić będą odpowiednią politykę inwestycyjną i tworzyć nowe dzielnice (Goniec Warsz. Nr. 2).

Ciekawa rzecz, co na ten program powie Zarząd Miejski w Tomaszowie Mazowieckim lub w Zawierciu, gdzie nadmiar miejskiej ludności doprowadził do tego, że utrzymanie miasta przejąć musiał na siebie Fundusz Pracy i gdzie siłą rzeczy odbywa się proces umieszczania się bezrobotnych w okolicznych wsiach i wioskach.

Nie wiadomo tu, w jaki sposób koncepcję taką przyjąłby ów burmistrz na Kujawach, którego niedawno bezrobotni wywlekli z ratusza, wywieźli za miasto i niemiłosiernie skatowawszy porzucili nieprzytomnego w rowie przydrożnym. Przodownikowi policji dostało się również przy tej sposobności. Gdy coraz bardziej występuje konieczność odciążenia miast od elementów bezrobotnych, pomysł ściągania ich ze wsi przeż ad hoc pomyślane inwestycje i budowanie nowych dzielnic trudno uznać za szczęśliwy. Zresztą nie jest on groźny. Brak mu bowiem zmysłu rzeczywistości.

Kronikę kryminalną niewątpliwie wzbogaca historja samorządu w Gorlicach, dokąd na burmistrza władze administracyjne ściągnęły jakiegoś jegomościa z Łunińca. Biedak w krótkim czasie dowiódł, że nie posiada najmniejszych kwalifikacyj, potrzebnych do pełnienia swych obowiązków i obecnie stoi zupełnie bezradny wobec stawianych mu zarzutów, gdyż starosta, który go do Gorlic sprowadził, został przeniesiony gdzieindziej.

Może się pocieszać myślą, że przecież bardziej poważnie wygląda sprawa Poznania, Warszawy, no i Łodzi, w której samorząd został konsekwentnie doprowadzony do stanu zupełnej destrukcji i anarchji. Zresztą nie tylko przez politykę władz administracyjnych, stosowaną, powiedzmy, lokalnie, lecz przedewszystkiem przez politykę ogólną, w zasadzie, w treści i w intencjach zwróconą przeciwko samorządowi, jako organizacji bezpośrednio związanej z życiem społeczeństwa i stanowiącej jego własność. Lapidarnie kwestję tę możnaby sformułować w ten sposób, że kto zniszczył samorząd w stolicy, ten musiał doprowadzić do awantur łódzkich.

W wiadomościach prasowych o sprawach samorządu terytorjalnego uderzają tytuły. Ogromna ich liczba zaczyna się od wyrazu „czy". Pojawiają się pod znakiem zapytania, świadcząc w ten sposób, że samorząd nie stanowi w naszem życiu publicznem zaszczytnego wyjątku wobec kryzysu prawa i że takie lub inne rozstrzygnięcie spraw jego nie może być nigdy przewidziane przez przeciętnego obywatela na podstawie istniejących przepisów, logiki i rozsądku. Stoi on zawsze wobec decyzyj, których przewidzieć nie mógł, gdyż zależne są one zazwyczaj od czynników obcych mu i nieznanych.

To też nic dziwnego, że sprawa samorządu nie osiągnęła do tej pory w naszem życiu publicznem poziomu problematu. Informacje witane są mile, gdy niosą z sobą sensację. Zagadnienie spotyka się z obojętnością. Przykład lepiej tę sprawę wyjaśni. Proces starosty działdowskiego z powodu jednego z wielu nadużyć popełnionych w samorządzie porusza i obrusza całą opinję publiczną. Sprzedaż i likwidacja ze stratą dla miasta przez tymczasowego, t. zw. komisarycznego prezydenta przedsiębiorstwa komunalnego, stanowiącego majątek gminy, dorobek jej z okresu samorządu i pracy obywateli, jest przyjmowana obojętnie. Oczywiście wielką winę tego stanu rzeczy ponosi prasa.

Tymczasem samorząd miejski, który w ogólnem zagadnieniu samorządu terytorjalnego posiada odrębne ramy, zajmuje via facti ogromną pozycję, jako warsztat przeznaczony do pracy na polu gospodarczem i społecznem. Według zestawień Gł. Urz. Stat. dochody zwyczajne i nadzwyczajne miast niewydzielonych na r. 1936/37 były preliminowane na sumę ogólną blisko 67.5 miljona złotych, w miastach wydzielonych na sumę 321 miljonów. W porównaniu z wydatkami dają one nieznaczną nadwyżkę. Cyfry te, zawierając przelewy, nie ujmują dochodów z przedsiębiorstw samorządowych preliminowanych w wysokości z górą 275 miljonów, przyczem saldo zostało ustalone na sumę sięgającą 60 miljonów złotych. Rzeźnie, elektrownie, gazownie, wodociągi i kanalizacja, zakłady komunikacyjne, cegielnie i betoniarnie, gospodarstwa rolne i leśne, kopalnie, i t. d. uzewnętrzniają w sposób bardziej widoczny ogromny zasięg pracy gospodarczej gmin miejskich.

Jeszcze bardziej żywo jednak i bardziej plastycznie przemówiły do wyobraźni organizacji B. B. W. R. związane z tem stanowiska prezydentów i wiceprezydentów, burmistrzów i wiceburmistrzów, dyrektorów, naczelników wydziałów i wielka ilość urzędników samorządowych, którą, jak się okazuje, przy komisarycznych zarządach można w nieskończoność powiększać. To też po długiem i rozważnem przygotowaniu w szczególności przez ustawę samorządową z r. 1933, zresztą już dziś nawet przez autorów swych nie szanowaną, przypuszczono szturm do samorządu, obsadzając w pierwszym rzędzie pozycje prezydentów, którzy otrzymali specjalne pełnomocnictwa i przywileje. Dalszy ciąg poszedł gładko. Odczytujemy go w wzrastających wciąż wydatkach na emerytury i na wynagrodzenia dla napływających z terenu dawnego B. B. W. R. i przyjmowanych na budżet miasta sanatorów. Zresztą to nie jest jedyna forma świadczeń, składanych dziś przez samorządy wciąż niezaspokojonym, spragnionym i głodnym. Zdarza się, że nawet projekty ustaw są opracowywane dla dogodzenia ambicjom osobistym znęcającego się nad samorządem dygnitarza.

Ten stan rzeczy sprawia, że i sensacyj i zasadniczych zagadnień nagromadziło się na odcinku samorządowym sporo. Niema więc nic dziwnego, że pewne uwagi wywołała obojętność dla tej sprawy ze strony Sejmu i milczenie posłów, jakkolwiek dyskusja nad preliminarzem budżetowym Min. Spr. Wewn. otwierała możność gruntownego jej omówienia. W uwagach tych jednak, tkwi głębokie nieporozumienie. Któraż bowiem z aktualnych spraw samorządowych mogła być w obecnym sejmie postawiona i przez kogo? Każda interpelacja, każdy wniosek, zmierzający do rzeczowego jej postawienia czy załatwienia prowadzić musiał do potępienia polityki samorządowej, do wypowiedzenia się przeciwko systemowi, którego jest ona wyrazem. Gdyby stosunek do samorządów miał ulec rewizji i zmianie, to mogłoby się to odbyć tylko na drodze zwrócenia samorządu społeczeństwu, co byłoby identyczne z pogromem sanacji. Dlatego też ani sejm ani senat problematu samorządu dźwignąć nie są w stanie. Mogła natomiast to uczynić poznańska rada miejska.

Oczywiście pozostaje zawsze miejsce dla mówienia o poszczególnych wypadkach i drobiazgach. Niema to jednak żadnego znaczenia. Szczególniej, gdy wszystkie sprawy załatwia czy topi kokietowanie prostotą i szczerością podobno żołnierską. Jak widzimy bowiem, obecny system rządzenia nie załamuje się, lecz zostaje wzbogacony przez nowe metody.

Niema powodu sądzić, żeby posłowie i senatorowie nie ulegli ich czarowi przy sprawach samorządowych. Lepiej więc, że o nich milczeli. Zagadnienie samorządu musi wrócić i być twardo postawione przez obozy społeczne i polityczne.

Przegląd Prasy Krajowej

KAZANIE KS. TOKARZEWSKIEGO.

(T.) Dn. 15 grudnia 1936 r., podczas nabożeństwa za duszę ś. p. Józefa Marczewskiego, posterunkowego P. P., zamordowanego przez bandytę w powiecie kowelskim, ks. Tokarzewski wygłosił w kościele kowelskim kazanie wobec zebranych przedstawicieli władz państwowych, wojska, organizacyj polskich oraz licznej rzeszy uczestników pogrzebu. Kazanie to, według tygodnika W o ł y ń z dn. 25 b. m., brzmiało jak następuje:

„Większej nad tę miłość żaden nie ma, aby kto duszę swoją położył za przyjacioły swoje". (Św. Jan 15.13). Żałobni słuchacze! Jako sługa Kościoła i Polski, kiedy staję u tej trumny dzielnego i wiernego syna Matki Ojczyzny, nie znajduję bardziej odpowiednich słów dla zaczęcia mego przemówienia, nad przytoczone na początku. Tak. Bo On ś. p. Józef oddał życie swoje za przyjacioły swoje, za sprawę Matki swej wiecznej — Ojczyzny — Polski.

Rozminąłbym się ze swojem powołaniem, znieważyłbym krew wytoczoną z tego bohatera, gdybym poprzestał na szablonowym panegiryku pogrzebowym, chwaląc, zupełnie słusznie, pamięć Jego, jako wyjątkowo dzielnego syna Ojczyzny. Wiemy wszyscy, że padł z ręki terorysty ukraińskiego, który już dziewięć ofiar miał na sumieniu. Wiemy, że dlatego został zamordowany, że był wiernym sługą Polski, a jeśli tak, to słusznem będzie wobec Boga i świątyni zastanowić się nad tem, o czem szersze warstwy społeczeństwa polskiego tu w Kowlu wiedzieć muszą — cóż ta Polska złego im tu na Wołyniu zrobiła, iż mordują wiernych Jej synów? Kiedy krwią najlepszych synów swoich Wołyń został znowu powrócony pod rządy polskie, lud miejscowy prawosławny nie wiedział i nie rozumiał, jakiej jest narodowości Zapytany o to odpowiadał „my tutejsi".

I oto za polskie pieniądze, nie raz kosztem honoru i interesów polskich, miejscowego chłopa prawosławnego nauczono, przekonano, wbrew nieraz jego woli, wmówiono w niego, iż: 1) jest Ukraińcem, 2) nauczono śpiewać „Szcze ne wmerła Ukraina", o której dowiedział się od Polaków, 3) dzieciom polskim kazano uczyć się ich mowy, 4) stworzono im własną ukraińską cerkiew, 5) teatr ukraiński, 6) pisma ukraińskie, 7) kluby — „Ridni Chaty".

Cóż więcej im miała dać władza polska na Wołyniu? Im, obywatelom polskim, na polskim Wołyniu, krwią polską Polsce zwróconym?

Hojną ręką siano, tu na Wołyniu, ziarna ducha narodowego ukraińskiego, o którym oni dotąd pojęcia nie mieli. Tak. Siano ziarna ducha ukraińskiego. I nie od dziś zbiera się żniwa. Oto przed nami leży piękny snop czystej polskiej pszenicy, zwalony sierpem dzikiej, płatnej nienawiści, zwalony na gnojowisko eksperymentów.

Czy po modlitwie za jego duszę, wróciwszy z kościoła, znowu mamy iść temi samemi drogami? Nie moja to sprawa. Obowiązek mój kapłana katolickiego, polskiego, pełnego bólu i upokorzenia dumy narodowej, daje mi prawo tylko mówić. I mówić muszę. Bo jeżeli milczałbym w tej chwili, On wstałby z trumny i przemówił, albo z kropli krwi Jego mogłoby zrodzić się morze krwi. Sumienie każe mi w tej chwili nie rozbudzać uczuć pomsty, ale uwagę waszą skierować w inną stronę.

Dla nikogo uczciwie myślącego nie jest żadną tajemnicą, za czyje pieniądze teroryści ukraińscy mordują najlepszych synów Polski. Dla nich i dla nikogo uczciwie myślącego nie jest dziś tajemnicą to, co ich rozzuchwala. Widzą oni bowiem bardzo dobrze, że: 1) kiedy im stworzono tu cerkiew ukraińską, my Polacy nie możemy doczekać się zwrotu zabranych przez carów na cerkwie naszych katolickich — polskich świątyń, 2) oni patrzą z zachwytem, jak polskie organizacje wypowiadają wojnę kościołowi katolickiemu, zamiast wojować z zalewem bolszewickim i rozmaitemi frontami, 3) oni rachować umieją i wiedzą, że to jest dziesiąta ofiara terorysty, opłacanego z wrażych Polsce srebrników i przeciwstawiają drwinami tysiące ofiar dusz polskich, zabitych terorem moralnym, by się wyparli zasad katolickich i służyli sprawie wrażej Polsce, 4) ich płatni agenci szerzą bibułę komunistyczną, a nasi, płatni z kasy państwowej, rwą i do kosza rzucają pisma katolickie z obrazami świętemi, by nie doszły do rąk ludu, 5) śmieją się szatańsko, widząc jak za polskie pieniądze tworzy się im „Ridne Chaty" i organizacje polityczne, a nasze żywot suchotniczy prowadzą dla wiadomych powodów.

Polska, z którą dziś rachują się najpotężniejsze mocarstwa, zbyt jest silną, by mogli być jej groźni działający za judaszowe srebrniki teroryści, którzy zabijają ciała. Stokroć są groźniejsi truciciele duszy polskiej, szerzący jad nienawiści klasowej, judasze krwi własnej, podrywający autorytet wiary rzymsko-katolickiej.

Prosimy Boga w modlitwie kornej, by ta krew męczennika obowiązku stała się nasieniem nie krwawej pomsty, ale otrzeźwienia dla zbyt już długo trwających eksperymentów, by użyźniła wzrost ducha polskiego i katolickiego na Wołyniu.

Bądź dumna zbolała Matko, żeś Matce Nieśmiertelnej — Ojczyźnie dała takiego syna. Bądźcie dumni i wy koledzy, żeście mieli w środowisku swojem tak dzielnego i szlachetnego towarzysza broni. Niech krew Jego wzmocni siły wasze do jeszcze większej pracy nad umocnieniem potęgi, siły ducha i autorytetu Rzeczypospolitej na tych wschodnich rubieżach. Grzeszącym opamiętanie, zmarłym wieczne odpocznienie racz dać Panie. Amen.

Kazanie ks. Tokarzewskiego przytoczyliśmy w brzmieniu dosłownem. Ilustruje ono w sposób nie wymagający dalszych komentarzy atmosferę, wytworzoną na Wołyniu, przez błędną i szkodliwą politykę administracji.

Lecz co napisał „Wołyń", tygodnik, wydawany przez województwo wołyńskie? Że ks. Tokarzewski, mimo że był prześladowany przez rząd carski, przejął się „duchem ucisku", „duchowo został przez carat zwyciężony".

Faryzeusze!

ALCHEMJA POLITYCZNA.

(R.) Ministrowie posiadają lokal na ulicy Wiejskiej, gdzie w gronie przyjaciół dzielą się wiadomościami o troskach. Sporo opowiedzieli w ostatnim tygodniu. O emeryturach, które dzięki sanacji moralnej wzrosły z 35 na 175 miljonów złotych. O katastrofach kolejowych i stanie taboru. O 100-procentowem wzmożeniu przestępczości. O 5 miljonach analfabetów i 1 miljonie dzieci poza szkołą. O zaburzeniach akademickich i innych... Premjer ujął to wszystko syntetycznie i, jak alchemik z elementów nikczemnych, stworzył całość pogodną, pełnowartościową. Ba, nawet radził jednemu z panów nie-wiejskich na Wiejskiej, aby nie krytykować, lecz u lekarza nerwy leczyć. Bo, jak premjer mówił:

„moja natura już nie orjentuje się w tych wszystkich symbolach i w tem, że oklaski były za szczerość, a nie za to, że miałem rację".

Można sobie wyobrazić, jak na to zareagowała prasa w całym kraju. Jakaś nawałnica artykułów, krytyk, rad, oburzeń, przypomnień, wniosków, aluzyj, które gdzieindziej wystarczyłyby do obalenia stu gabinetów i wywołania stu zamieszek. Atoli w poczciwości polskiej sprawa wygląda raczej na ślimaczenie.

Dla charakterystyki sytuacji przytoczymy tylko głos najwybitniejszego polskiego publicysty — B. Koskowskiego, który w *Kurjerze Warszawskim* pisze o debatach parlamentarnych z tak złośliwą, a jednocześnie wytworną finezją jakiej drugiego przykładu nie potrafilibyśmy wskazać:

„P. prezes Rady Ministrów nie przyjął dyskusji na proponowanym mu terenie. Nie zastanawiał się nawet dłużej nad tym jej epizodem, który dotyczył powszechnego i starego zagadnienia parlamentarnego: przedłużenia okresu obrad parlamentarnych, a zatem którby mógł dać przedstawicielowi rządu okazję do niejednej słusznej reprymendy. P. prezes Rady Ministrów oświadczył odrazu, że „wśród tych subtelności" ma wrażenie, jak gdyby wszedł „w jaką ślepą ulicę".

Wskutek tego debata zeszła raczej na tory szczegółów autobiograficznych. Nie twierdzimy, żeby i ta jej cecha nie miała pewnych walorów. Wszyscy interesujemy się duchową fizjonomją osób, które nami rządzą i w tym względzie każdy rysunek własnoręczny staje się cennym przyczynkiem. Niemniej jednak jest faktem, że cel, do którego dążyli pewni senatorowie, nie został osiągnięty i że wogóle nie mógł być osiągnięty wtedy, gdy najbardziej oczekiwanym partnerom w debacie argumenty prawne i polityczne wydają się zbyt zawiłemi i w gruncie rzeczy mącącemi linję życia publicznego, która odznacza się — ich zdaniem — daleko większą prostotą".

OD ADMINISTRACJI

P.p. Prenumeratorów prosimy uprzejmie o wpłacanie prenumeraty na I-szy kwartał 1937 r.

Z Prasy Zagranicznej

MOWA BLUMA, A NIEMCY.

Zdawna zapowiadana mowa premjera francuskiego, wygłoszona w Ljonie w ubiegłą niedzielę po bankiecie w gmachu giełdy robotniczej, poświęcona była w znacznej części stosunkom francusko - niemieckim. Wywołała w całej prasie europejskiej liczne komentarze. W Niemczech spotkała się wprawdzie z uznaniem, ale nie bez licznych zastrzeżeń. *„Deutsches Nachrichten Bureau"* pisze w komunikacie:

„W słowach Bluma, skierowanych pod adresem Niemiec, nie było nic takiego, coby mogło nas dotknąć albo też podać w wątpliwość dobrą wolę francuskiego premjera. Kiedy jednak Blum zapewnia, że zawsze był gotów zagadnienia, dotyczące życia politycznego dwóch wielkich mocarstw, rozwiązywać z pełną życzliwością, to nie możemy się z nim zgodzić. Odrzuca metodę paktów dwustronnych i szuka zapewnienia francuskiego bezpieczeństwa w ramach pokoju zbiorowego, powołując się przytem na zasady Ligi Narodów. Jednocześnie zapewnia, że Francja pozostanie wierną swoim przyjaciołom".

„Münchener Neueste Nachrichten" komentują:

„Blum wypowiada się za formułą pośrednią, która ani nie przychyla się do dotychczasowego stanowiska: „zbliżenie gospodarcze tylko wzamian za ustępstwa polityczne", ani z drugiej strony nie przeprowadza wyraźnego, jasnego podziału między doraźnemi potrzebami gospodarczemi a wielką polityką".

„Neues Wiener Journal" tytułuje mowę: „Całkowita otwartość w stosunkach niemiecko-francuskich", a stwierdzając, że Blum użył wyrażenia, że między Francją, a Niemcami istnieją „bezpośrednie rozmowy", tłumaczy:

„Bezpośrednie rozmowy" znaczy w rozumieniu ludzi, którzy tego zwrotu najczęściej używają, w rzeczywistości przecież „uregulowanie oddzielne". Rozumie się pod tem, że mogłoby dojść do trwałego porozumienia między Niemcami i Francją bez udziału innych państw w rozmowach i bez wciągania ich w układ. To nie jest jednak metoda, za którą stoi rząd francuski".

Prasa francuska z innej strony oświetla negocjacje z Niemcami, zapowiedziane przez Leona Bluma. Pisze *„Le Jour"*:

„P. Blum ma na widoku dyskusję na terenie gospodarczym. Powiedział jednak słusznie min. Eden przed kilku dniami, że jeżeli aljanci przyjmą ideę kooperacji gospodarczej z Berlinem, to pod tym wyraźnym warunkiem, że towarzyszyć jej będzie uporządkowanie tych wszystkich zagadnień politycznych, jakie jeszcze dzielą Niemcy od reszty Europy.

Przypuściwszy, że wizyty p. Schachta w Londynie i Paryżu zakończyłyby się, jak zazwyczaj, pożyczką, to śmiesznemby było, abyśmy otwierali kredyty naszym sąsiadom, ułatwiając im poprostu fabrykowanie sprzętu wojennego, który w razie potrzeby przeciwko nam obrócą".

Uzasadnia *„Le Temps"*:

„Raport Deutsche Kredit Cesellschaft za pierwsze półrocze 1936 stwierdza, że zbiór zboża jest zadawalniający i nie tylko zapewnia aprowizację na rok bieżący, ale dozwolił zmniejszyć import na zapasy o 400 miljonów marek. Co do tłuszczów, Rzesza produkuje przeszło miljon ton rocznie. A tymczasem sprowadza w ciągu sześciu miesięcy dwa razy więcej masła, niż go konsumuje w roku, smarów zaś trzy razy tyle! Ten sam stosunek zachodzi przy wszystkich surowcach".

Przytaczając te słowa, rozważa *„L'Action Française"*:

„To podejrzane postępowanie wytłumaczyć można dwiema hipotezami. Pierwsza, mniej pesymistyczna, przypuszcza, że ogromny import surowców i artykułów żywnościowych służy do wykazania, że Niemcy nie mogą się obejść bez kolonij. O nie bowiem toczy się w tej chwili kampanja. Druga hipoteza, dużo poważniejsza, a przecież prawdopodobna, mówi: Rzesza, przygotowując wojnę, tworzy sobie zapasy, które jej pozwolą na wypadek wojny przetrzymać długą i surową blokadę".

POLSKA ZNOWU W GENEWIE.

Pisze *„L'Intransigeant"*:

„Ożyła sprawa gdańska. W chwili, kiedy przypuszczano, że nie będzie przedmiotem żadnej debaty na Radzie, wyłoniła się nagle, najeżona nieprzewidzianemi trudnościami.

Nie będzie to zdradzeniem sekretu, jeśli zapewnimy, że suggestje pana Becka nie zgadzają się z zapatrywaniami pana Edena.

Ale... czy Liga Narodów może się okazać nieprzejednaną? Czy członkowie Rady wezmą odpowiedzialność za decyzje — oczywiście ściśle zgodne z literą Paktu — których niewątpliwie nie będą mogli utrzymać w razie zamachu?

Kompromis, zaofiarowany przez ministra polskiego, polega właściwie na dobrej woli gdańskich narodowych socjalistów, którzy, ze swej strony, otrzymują rozkazy z Berlina.

Zapewniają oni, że jeżeli Liga Narodów przestanie się zajmować polityką wewnętrzną Wolnego Miasta, — co jest równoznaczne z daniem carte blanche organizacjom hitlerowskim — zobowiążą się na przyszłość szanować konstytucję.

Niestety odkąd p. Beck otrzymał te piękne obietnice, senat gdański już złamał słowo i wielokrotnie postępował nielegalnie.

Sprawa gdańska znowu przestała być zatargiem lokalnym, ale stała się z powrotem probierzem siły i prestiżu Ligi Narodów.

Wszystkie te komplikacje zdają się przygotowywać — w bliższym lub dalszym terminie — pucz hitlerowski w Gdańsku, który mógłby pociągnąć za sobą niezwykle ciężkie zawikłania.

Prasa niemiecka, dziwnie zgodnym chórem, przewiduje „spokojne rozwiązanie" kwestji gdańskiej":

„Polski minister spraw zagranicznych, którego pewne koła francuskie bardzo silnie zaatakowały, złożył Komitetowi Trzech bardzo wyczerpujące sprawozdanie z rokowań z Gdańskiem oraz wysunął własne życzenia. Na zasadzie wymiany myśli z Komitetem odnosi się wrażenie, że w najbliższych dniach kwestja będzie załatwiona".

Czy także w myśl życzeń Berlina?

Azet.

Książki nadesłane

Jan Stański. Na kresach walka wre. Dramat współczesny w 4 aktach. Warszawa 1937.

„Nasza wielowiekowa przeszłość nauczyła nas współżyć i współpracować pod jedną wspólną strzechą z innemi narodami słowiańskiemi. Żeśmy współżyć umieli, tego dowodem długi poczet mężów stanu w dawnej Rzeczypospolitej pochodzenia niepolskiego i obrządku niekatolickiego".

J. Strzembosz. Pożyczka zagraniczna. Powieść. Księg. św. Wojciecha. Poznań 1937.

„— Czy nie czuje pan, jakim jest ciężarem dostatek, codzienny komfort życia? Jakiem jest niewolnictwem nasz materjalny dobrobyt? Jesteśmy od dziecka wprzągnięci w jego jarzmo. Od lat najmłodszych uczą nas wyrzekać się siebie samych. Poświęcać wszystko nienasyceniu nikczemnego bożka. W imię czego? W imię szczęścia? Czyjego?".

*

Józef Skrzypek. Południowo - wschodnia polityka Polski od koronacji Jagiełły do śmierci Jadwigi i Bitwy pod Worsklą. Lwów 1936.

„Zadaniem niniejszej pracy jest przedstawienie wypadków i zjawisk politycznych, jakie miały miejsce na Węgrzech w latach 1386 — 1399, oraz stosunek, jaki zachodził między Węgrami a Polską w tym właśnie czasie. Ponieważ w ramach tematu znajdują się, z natury rzeczy, sprawy mołdawsko - wołoskie, a do pewnego stopnia i krzyżacko - węgierskie, nie mówiąc o tureckich i bałkańskich, wszystkie zostały rozpatrzone właśnie pod kątem stosunków polsko-węgierskich.

Jerzy Przywieczerski. Hiszpanja w ogniu. Reportaż. Warszawa 1936.

„— Co nas obchodzi Hiszpanja! Jeśli zwycięży Rząd, wpływy Kominternu wzrosną, co jest niepożądane i groźne dla Europy. Jeśli gen. Franco odniesie zwycięstwo, trjumfować będą Niemcy, które, uzyskawszy przez powiększenie wrogiego sektora granic Francji wolną rękę na zachodzie, zechcą, być może, wyrównać swoją wschodnią granicę...

Spokojnie, bez partyjnych sympatyj i z rozwagą patrzmy na zachód i Hiszpanję".

*

Założone przez prof. O. Balcera w r. 1901 we Lwowie Towarzystwo dla popierania nauki polskiej, przekształciło się w r. 1920 w Towarzystwo Naukowe we Lwowie, przyjęło statut Akademji i weszło w skład czterech najwyższych instytucyj naukowych polskich, które stanowią t. zw. „Komitet Porozumiewawczy". Jego działalność naukowa obejmuje, podobnie jak w Akademji Umiejętności i w Towarzystwie Naukowem Warszawskiem, działy: filologiczny, historyczno - filozoficzny i matematyczno - przyrodniczy.

Dorobek wydawniczy Towarzystwa jest bardzo znaczny. Katalog za cały czas działalności wykazuje z górą 1000 pozycyj ze wszystkich działów nauki polskiej, oraz nazwiska najpierwszych polskich uczonych.

Do redakcji nadesłano serję ostatnich wydawnictw, które przy sposobności omówimy szerzej.

A. Z.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1,50; zagranicą zł. — 2,— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ st. — zł. 125,—; ¼ str. — zł. 75,—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. **WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.**

Zakłady Graficzne DRUKPRASA, Nowy-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.